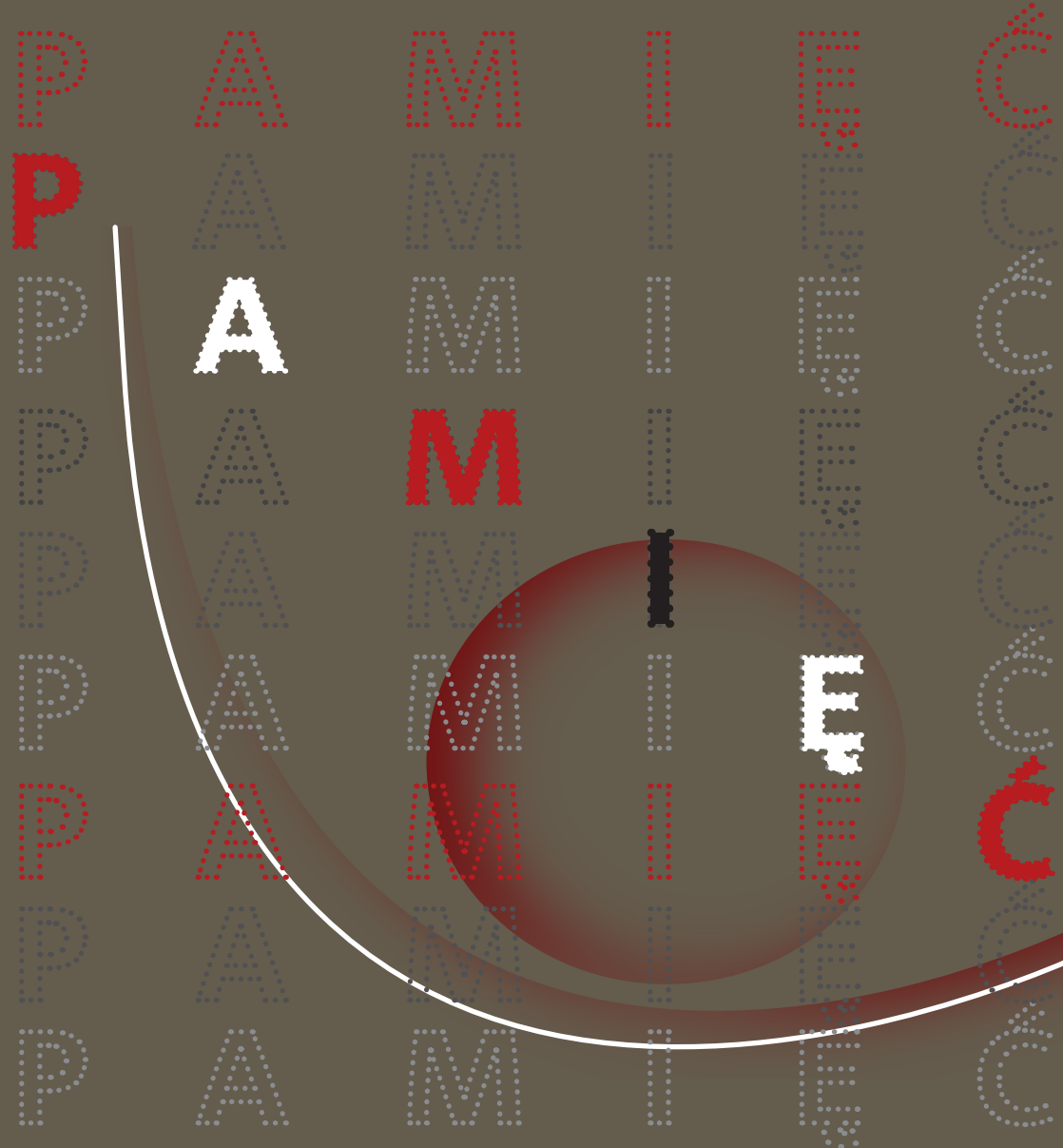


P A M I Ę Ć

jako przedmiot władzy



Fundacja im. Stefana Batorego

Pamięć jako przedmiot władzy

Pod redakcją
Piotra Kosiewskiego



IM. STEFANA
**FUNDACJA
BATOREGO**



Pamięć jako przedmiot władzy

Marek A. Cichocki
Maciej Janowski
Zdzisław Krasnodębski
Marcin Król
Aleksander Smolar
Joanna Tokarska-Bakir



Fundacja im. Stefana Batorego

Sapieżyńska 10a

00-215 Warszawa

tel. |48 22| 536 02 00

fax |48 22| 536 02 20

batory@batory.org.pl

www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne

Izabella Sariusz-Skąpska

Korekta

Joanna Liczner

Opieka artystyczna nad publikacjami Fundacji im. Stefana Batorego

Marta Kusztra

Projekt graficzny

Teresa Oleszczuk

© Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego

Skład elektroniczny

TYRSA Sp. z o.o.

ISBN 978-83-894068-8-0

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa 2008

Spis treści

| | |
|---|-----------|
| Jarosław Kurski, Wprowadzenie | 7 |
| Marek A. Cichocki, O potrzebie pamięci i grozie pojednania | 9 |
| Maciej Janowski, Pamięć to nie domena państwa | 13 |
| Zdzisław Krasnodębski, Rozmowy istotne i nieistotne | 17 |
| Marcin Król, Manipulacje władzy | 23 |
| Joanna Tokarska-Bakir, Nędza polityki historycznej | 27 |
| Dyskusja | 31 |
| Aleksander Smolar, Władza i geografia pamięci | 49 |
| Noty biograficzne | 75 |
| Indeks nazwisk | 79 |

Jarostaw Kurski

Wprowadzenie

Problem pamięci jako przedmiotu władzy można rozpatrywać na wielu płaszczyznach. Najbardziej znana i oczywista to tak zwana polityka historyczna, która w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości przybrała dosyć realną postać rozmaitych inicjatyw podejmowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, ale też przez instytucje, takie jak Muzeum Powstania Warszawskiego czy tworzone właśnie Muzeum Historii Polski. Jednak formą polityki historycznej jest także forsowanie przez Romana Giertycha jako ministra edukacji narodowej określonego kształtu kanonu lektur szkolnych czy zalecanie tras krajoznawczych dla uczniów, gdzie znalazło się miejsce na to, aby odwiedzić grób putkownika Ryszarda Kuklińskiego, ale już niekoniecznie starczyło czasu dla miejsca pochówku Jacka Kuronia. Mówiąc krótko, politykę historyczną można dziś uznać za refleks już znanej, starej debaty z okresu II Rzeczypospolitej, toczącej się między zwolennikami Henryka Sienkiewicza a czytelnikami Stefana Żeromskiego, czyli między tymi, którzy chcieli historii ku pokrzepieniu serc, a tymi, którzy uważali, że trzeba rozdrapywać rany narodowe, by nie zablizniały się błoną podłości.

Jednak władza nad pamięcią nabiera dziś zupełnie realnych kształtów. Mam na myśli konkretne akty legislacyjne – nie tak dawno uchwalone, jak ustawa lustracyjna, czy takie, które były tylko planowane przez obóz Prawa i Sprawiedliwości, jak ustawy dekomunizacyjna albo „dezubekizacyjna”.

Pamięć staje się też argumentem na forach międzynarodowych. Przy-
pomnę chociażby wypowiedź Lecha Kaczyńskiego podczas szczytu Unii
Europejskiej w czerwcu 2007 roku, kiedy to w dyskusji o pierwiastku Pre-
zydent mówił, że gdyby nie druga wojna światowa, to Polska miałaby dziś
66 milionów obywateli.

Wszystkie te kwestie stały się przedmiotem debaty zorganizowanej
przez Fundację Batorego 4 lipca 2007 roku z udziałem historyków, socjolo-
gów, publicystów i historyków idei. Przedstawiamy wybór najważniejszych
fragmentów tej dyskusji.

Marek A. Cichocki

O potrzebie pamięci i grozie pojednania

Niedawno władze Wrocławia przywróciły dawną nazwę Hali Ludowej. Podejmując tę decyzję, usunięto nazwę związaną z czasami PRL. Jednak pierwotna – Hala Stulecia – upamiętniała tak zwaną Bitwę Narodów pod Lipskiem, zwycięską dla Prus. Jak wiemy, ta zmiana wzbudziła pewne wątpliwości. Rozgorzał spór na łamach prasy. Mnie jednak zastanowiło coś innego: dlaczego postawienie pytania, co oznacza powrót do dawnej nazwy, z góry uznano za niestosowne lub śmieszne? Przecież w postawieniu takiego pytania nie ma nic niewłaściwego. Wręcz przeciwnie, należy pytać: „Co się kryje za tą decyzją? Jakie motywy stały za jej podjęciem? Jakie będą jej konsekwencje?”. Są to przecież zasadne pytania i dotyczą sprawy bardzo poważnej: pamięci zbiorowej.

Jeżeli mówimy o pamięci, to natychmiast pojawia się pytanie o jej relacje z władzą, a także o związki między pamięcią a polityką. Dostrzeżenie tych relacji zmusza do krytycznej oceny postulatu często stawianego przez zawodowych historyków. Twierdzą oni, że problem pamięci o przeszłości jest wyłącznie domeną obiektywnej nauki. Zatem należy kwestie pamięci pozostawić naukowcom, którzy w odpowiedzialny, obiektywny i profesjonalny sposób będą je opisywać. Mówiąc inaczej: według tego poglądu tylko historycy są gospodarzami pamięci. Jednak ich roszczenia, aby być jedynymi prawomocnymi gospodarzami tej dziedziny, są bezzasadne. Wywodzą się one zresztą z dziewiętnastowiecznej szkoły historycystycznej, której kla-

sycznym reprezentantem był np. Jacob Burckhardt. Ten sposób myślenia świetnie skwitował Karl Popper, kiedy jednej ze swych książek nadał tytuł *Nędza historycyzmu*.

Pytanie o relację między pamięcią a władzą odnosi nas przede wszystkim do problemu indywidualnego doświadczenia człowieka jako istoty śmiertelnej i skończonej. Kiedy człowiek umiera, znika jego pamięć. Z tym doświadczeniem musimy zmierzyć się nie tylko jako jednostki, ale również jako wspólnota. Co zrobić, aby pamięć indywidualna nie zniknęła wraz ze śmiercią człowieka? Na tak postawione pytanie padały różne odpowiedzi.

Maurice Halbwachs twierdził, że istnieją ciągi pamięci, które mają charakter spoteczny i zamykają się w obszarze trzech pokoleń. Według niego pamięć nie znika wraz z indywidualną śmiercią, lecz nadal funkcjonuje, jednak tylko przez określony czas. Każdy z nas może tego doświadczyć: pamiętamy swoich dziadków, ale gorzej jest z pradziadkami. Nasza pamięć o prapradziadkach czy praprapradziadkach jest już szczątkowa. Być może przechowujemy w szufladzie ich fotografie, ale pamięć o tych odległych pokoleniach nie pulsuje już żadnym realnym życiem ani konkretnymi emocjami. A to one stanowią o bezpośredniości pamięci.

Innej odpowiedzi udzielił Jan Assman. Twierdził on, że Halbwachs się mylił, patrzył bowiem na problem pamięci z punktu widzenia socjologa. Nie rozumiał, że pamięć jest substancją kultury i tkwi w nas dłużej niż pamięć przekazywana przez pokolenia. Czasami nawet odczuwamy ją jedynie podskórną. Inaczej mówiąc, można zauważyć związki zachodzące między bardzo odległymi doświadczeniami, np. między pamięcią o kulturze politycznej I Rzeczypospolitej a wydarzeniami z lat 1980–1981. Zatem istnieje jakiś długi ciąg pamięci, wykraczający poza doświadczenia pokoleniowe.

Rozpatrując relację pamięci i władzy, nie możemy zapomnieć o jeszcze jednym problemie. Hannah Arendt w *Kondycji ludzkiej* pisała, iż już od czasów starożytnych Greków było wiadome, że jedynie wspólnota polityczna umożliwia człowiekowi utrzymanie i kultywowanie pamięci

zbiorowości. Tylko wspólnota polityczna jest formą pozwalającą zachować pamięć zbiorowości, pomimo śmierci pamięci indywidualnej czy zaniku pamięci pokoleniowej.

Oczywiście, problem relacji między pamięcią a władzą nie zamyka się w ramach ogólnych kwestii z zakresu filozofii politycznej. Nie mniej istotnym elementem, pozwalającym na udzielenie właściwej odpowiedzi na pytanie o te relacje, są dwudziestowieczne doświadczenia naszej części Europy. Ta specyfika powoduje, że musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, co chcemy uczynić z pamięcią naszego doświadczenia. Ograniczenie się do pamięci indywidualnej bądź pamięci trzech pokoleń oznacza, że szczególne doświadczenie naszej części Europy przestanie istnieć i nie będzie jednym z elementów, na których zostanie ufundowana ogólnoeuropejska pamięć. Jeżeli nie zgadzamy się na to, będziemy musieli poszukiwać rozwiązań pozwalających na ocalenie pamięci o naszym doświadczeniu. Dlaczego jest to tak ważny problem? Dlatego, że od kształtu ogólnoeuropejskiej pamięci zależy nasza tożsamość. Pamięć jest jej niezbędnym elementem, a tożsamość, jak twierdził już Wincenty Kadłubek w XII wieku, konstytuuje każdą społeczność. Inaczej mówiąc, nie możemy abstrahować od problemu zachowania pamięci o naszym doświadczeniu XX wieku, chyba że zanegujemy specyfikę tej części Europy oraz odrzucimy pytanie o to, jaki powinien być nasz wkład w pamięć ogólnoeuropejską, i tym samym podważymy istotę pamięci, tożsamości i społeczeństwa.

Wróć do przykładu wspomnianego na początku. Spór o nazwę wrocławskiej Hali Stulecia łączy się z toczącą się od wielu lat w Europie dyskusją na temat pojednania i zapomnienia. Bardzo często spotykamy się z argumentem, że warunkiem pojednania czy też uzyskania spokoju ogólnoeuropejskiego jest odejście od myślenia w kategoriach historycznych. Pomijam fakt, iż takiego odejścia od argumentów historycznych nie można zaobserwować u naszych europejskich partnerów. To inna, chociaż bardzo ważna kwestia. Sądzę jednak, że kiedy rozmawiamy o władzy i pamięci, nie możemy pominąć idei pojednania rozumianego jako zapomnienie.

W mojej ocenie jest to niebezpieczna idea. Dlaczego? Ponieważ obiecuje ona rozwiązanie problemu cierpienia, które jest naturalnie związane z pamięcią i tożsamością. Każdy, kto chce je zachować, musi być skonfrontowany ze zjawiskiem cierpienia. Retoryka pojednania obiecuje nam świat bez cierpienia, w którym nie będziemy musieli pamiętać o różnych rzeczach, nie będziemy musieli ścierać naszych tożsamości z innymi, co zawsze jest procesem bolesnym i nieprzyjemnym. Tak rodzi się też obietnica uwolnienia nas od cierpienia, ale za cenę zadania nowego.

Przywołam tekst niemieckiego autora Ericha Obsta, poświęcony koncepcji nowego uporządkowania Europy. Pisał go we Wrocławiu w 1941 roku. Było to wtedy jeszcze miasto niemieckie, a Hala nosiła dumną nazwę „Stulecia”. Obst twierdził, że projekt skonsolidowania Europy siłą rzeczy będzie musiał prowadzić do wyeliminowania różnic tożsamości, stanowią one bowiem przeszkodę w zjednoczeniu. Píše: „mam świadomość tego, że to będzie bolesne oraz kosztowne w sensie społecznym i kulturalnym. Z procesem jednoczenia musi być związana przemoc strukturalna. Trzeba to jednak zrobić, bo sama idea jest piękna. Dzięki temu gwałtowi będziemy mogli współżyć we wspaniałej Europie”. Jednocześnie Obst powiada, że etap strukturalnej przemocy niezbędny do osiągnięcia pewnego ideału musi być później zastąpiony mądrą polityką pojednania. Co to znaczy? To oznacza, że ostatecznym elementem konstytuującym nowy porządek jest zapomnienie o cierpieniu.

Podsumowując, uważam, że roszczenie historyków do bycia jedynymi gospodarzami pamięci w społeczeństwie demokratycznym jest absolutnie nie do przyjęcia. Pamięć musi znajdować się w środku *polis*. Pamięć jest także przedmiotem debaty publicznej ze wszystkimi tego konsekwencjami, w tym z przymusem konfrontowania się z takimi poglądami, jakie głoszą ludzie pokroju Romana Giertycha. Wreszcie, nie ma zgody na „mądrą politykę pojednania”, ponieważ oznacza ona w praktyce obietnicę zapomnienia za cenę zadania kolejnego cierpienia. A tego nie sposób zaakceptować.

Maciej Janowski

Pamięć to nie domena państwa

Nie jestem pewien, czy pamięć i historia powinny być domeną zawodowych historyków, a hasło „historia dla historyków” jest właściwe. W innej sprawie mam jednak pewność. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego w wolnym, demokratycznym kraju pamięć ma być przedmiotem zajęcia władzy. Dlaczego władza państwowa ma mieć interes w kształtowaniu określonej wizji pamięci?

Jest to też zajęcie prowadzące do skutków intelektualnie dość jałowych. Jeżeli spojrzymy na kraje naszego regionu, to zobaczymy, że wszelkie próby kształtowania pamięci zbiorowej były i są beznadziejnie identyczne. Wszyscy – Polacy, Ukraińcy, Rumuni, Węgrzy, Czesi – przedstawiają siebie jako nieszczęśliwy i jednocześnie bohaterski naród. Wszyscy są przekonani, że w swych dziejach mieli epokę demokracji i wolności oraz że znacznie wcześniej niż biedni Francuzi wynaleźli idee wolności, równości, braterstwa. W Polsce tym mitycznym okresem jest demokracja szlachecka, u Czechów czas husytyzmu, u Węgrów Księstwo Siedmiogrodzkie na przełomie XVI i XVII wieku, u Rumunów księstwa mołdawskie i wołoskie, u Ukraińców zaś hetmanat stworzony przez Bohdana Chmielnickiego. Wszystkie te narody są też głęboko przekonane, że ich pierwiastkowa wolność została później zniszczona przez zewnętrzny najazd i tylko z tej przyczyny nie są przodującymi narodami w Europie, gorzej, muszą nie z własnej winy doganiać Zachód.

Jedyne możliwe uczucie po lekturze prac zawodowych i niezawodowych historyków (pierwsi wcale nie ustępują drugim w tworzeniu takich mitycznych obrazów) z różnych krajów, propagujących podobne wizje przeszłości, to zażenowanie. Chciałoby się, by własny naród był odrobinę mądrzejszy i zrezygnował z tej formy przedstawiania swojej przeszłości. Aby przestał opowiadać o własnej wyjątkowości: o niespotykanej w innych krajach demokracji szlacheckiej, o większych niż gdzie indziej cierpieniach, o głębszej niż u sąsiadów tradycji wolnościowej. U każdego zewnętrznego obserwatora, który nie pochodzi z naszego regionu i nie zna wszystkich tutejszych uwarunkowań, snucie owych historii może budzić jedynie uśmiech politowania. Oczywiście, to złudna nadzieja. Polacy, podobnie jak pozostałe narody Europy Środkowo-Wschodniej, ulegają pokusie tworzenia schematycznej, wyidealizowanej historii, nieszczęśliwej, ale bohaterskiej. Nie sądzę oczywiście, że wyjściem z tej sytuacji jest urzędowe propagowanie wizji krytycznej w miejsce idealizującej. Problemem jest to, że w ogóle państwo uważa za swoje zadanie popularyzację jakiegokolwiek wizji przeszłości narodowej.

Oczywiście, można toczyć długą dyskusję na temat I Rzeczypospolitej, do której obecnie tak często odwołuje się wielu naszych publicystów. Uważam jednak, że jakakolwiek prawdziwa pamięć o państwie przed rozbiorem zanikła około połowy XIX wieku. Polityczna tradycja Rzeczypospolitej była martwa już w czasach pozytywizmu. Nikt wówczas nie rozumiał funkcjonowania tego państwa. Chociażby powieści Henryka Sienkiewicza są doskonałym przykładem mylnego przekonania o mentalności sarmackiej. Tymczasem wiele osób wciąż z ochotą odwołuje się do jakiejś pamięci, nie chcąc zauważyć, że została ona sztucznie wymyślona.

Raz jeszcze podkreślam: uważam, że to nie władza państwowa powinna kształtować pamięć historyczną. Oczywiście, tak jak wielu innych, pragnąłbym, aby określone wyobrażenia na temat naszej przeszłości rozpowszechniały się w społeczeństwie. Jednak powinny one – że tak powiem – „ucierać się” na wolnym rynku idei. Niektóre sposoby myślenia o przeszłości są bardziej pożądane niż inne, ale to nie państwo powinno decydować o tym, że moje poglądy na temat przeszłości są lepsze od innych.

Obecnie sporo mówi się o praktycznym wymiarze działań państwa. Wielkie emocje budzi kwestia dekomunizacji przestrzeni symbolicznej: nazw ulic, budynków, pomników. Należy jednak zwrócić uwagę na dwie sprawy. Część nazw pełni funkcję upamiętniającą. Jeżeli nazywamy ulicę „Józefa Piłsudskiego” albo „11 Listopada”, to chcemy uczcić ważną postać lub wydarzenie. Jednak inne nazwy wywodzą się z odległej przeszłości i nic już nie upamiętniają. „Świętokrzyska”, „Żurawia” czy „Wąski Dunaj” wbiły się w pamięć i próba ich zmiany byłaby pogwałceniem tradycji. Podobnie jest z powrotem do nazw historycznych. Nie uważam chociażby, by przywrócenie dawnej nazwy Hali Stulecia we Wrocławiu było próbą upamiętnienia feldmarszałka Gebharda Leberechta von Blüchera i innych bohaterów, którzy położyli takie wspaniałe zasługi dla domu Hohenzollernów, walcząc w roku 1813 z Napoleonem. To tylko respekt wobec przeszłości tego miejsca oraz upamiętnienie tych, których potomkowie już tam nie mieszkają. Nie widzę w tym akcie żadnego zagrożenia. Więcej, wzbogaca on dzisiejszych mieszkańców Wrocławia. Respektowanie dawnych nazw nie musi też mieć nic wspólnego z akceptacją związanych z nimi niegdyś ideologicznych treści. Lojalność, tożsamość i poczucie wspólnoty grupowej nie tworzą się *in abstracto*, lecz skutek przywiązania do konkretów, w tym – dzięki uznaniu części cudzej przeszłości za godną zapamiętania.

Zdzisław Krasnodębski

Rozmowy istotne i nieistotne

Możemy rozmawiać o posunięciach rządu Prawa i Sprawiedliwości w latach 2005–2007, o poszczególnych ustawach czy o powoływanych instytucjach. Możemy sprzeczać się o przyszły kształt Muzeum Historii Polski czy o ustawę dezubekizacyjną. To są zasadne punkty sporu. Mamy różne poglądy polityczne, ale czasami dzielą nas tylko kwestie czysto techniczne. Możemy wreszcie spierać się o kierunek polityki państwa w tej dziedzinie. Debatować o tym, jakie ruchy i postacie zasługują na uhonorowanie, a jakie powinny zostać pominięte.

Wszystkie te kwestie mogą i powinny być przedmiotem sporu. Natomiast nie wydaje mi się rzeczą sensowną dyskusja o tym, czy państwo i polityka mają coś wspólnego z historią, ani też o tym, czy istnieje związek między wspólnotą polityczną a pamięcią zbiorową. Dlaczego? Pamięć była, jest i będzie przedmiotem władzy. Oczywiście, natura tej władzy się zmienia. Niekoniecznie musi być rozumiana w sensie pruskim. Co więcej, ani władza, ani pamięć nie znikną w zjednoczonej Europie. Ostatnie doświadczenia pokazują, że jest wręcz przeciwnie. Odwołanie się do pamięci czy sięganie po argumentację historyczną odgrywa coraz większą rolę w polityce międzynarodowej. Nie tylko Jarosław Kaczyński sięgał po argumenty zaczerpnięte z doświadczenia historycznego. Wystarczy wspomnieć, jak częste są w dzisiejszej polityce międzynarodowej rozmaite rytuały ekspiacyjne czy też kommemoratywne.

Niedawno spacerowałem po centrum Berlina. Idąc Unter den Linden, doszedłem do Neue Wache. Bardzo ciekawie wypada porównanie zmian funkcji i wystroju tego dawnego odwachu w ubiegłym stuleciu. Ta pruska wartownia od 1931 roku była pomnikiem ku czci poległych w czasie pierwszej wojny światowej. Wówczas na środku pomieszczenia ustawiono granitowy blok z dębowym wieńcem. W czasach NRD zmieniono przeznaczenie odwachu: budynek upamiętniał ofiary faszyzmu i militarizmu. Obok prochów nieznanego żołnierza umieszczono szczątki więźnia obozu koncentracyjnego. Po zjednoczeniu Niemiec ponownie przekształcono wnętrze budynku. Umieszczono tam rzeźbę autorstwa Käthe Kollwitz *Matka ze zmarłym synem*. Przeniesiono prochy. I przede wszystkim zmieniono napis. Dziś głosi on, że pomnik został poświęcony „ofiaram wojny i terroru”, przy czym słowo *Gewaltherrschaft* jest rozumiane bardzo szeroko i obejmuje również ofiary komunizmu. To tylko jeden przykład polityki pamięci, prowadzonej przez władze w bardzo różnych jej odstonach.

Można oczywiście kpić z biednych krajów Europy Środkowej, które wymyślają rozmaite mity historyczne, mające dodać im powagi i znaczenia. Jeżeli jednak pojedziemy do Francji lub do Stanów Zjednoczonych, to wszędzie tam zobaczymy podobne zjawiska. Jednak te próby mitologizacji nie wywołują już u nas uśmiechu politowania, tylko są przyjmowane ze zrozumieniem. Pozostajmy przy przykładzie Niemiec.

Nie tak dawno miało tam miejsce ważne wydarzenie niedostrzeżone przez polską prasę. Postanowiono zbudować w Berlinie pomnik honoru Bundeswehry. Ma on być poświęcony żołnierzom poległym w misjach pokojowych. W samym pomysle nie ma nic nagannego. Niemcy byli i są obecni w wielu zapalnych miejscach na świecie, od Kosowa po Afganistan. I ponoszą ofiary. Warto jednak zauważyć przemianę, jaka zaszła w tym kraju. Jeszcze 10–15 lat temu bardzo modne w kręgach uniwersyteckich było hasło: „Wszyscy żołnierze są mordercami”. Ten akt budowy jest właśnie ustanowieniem nowej pamięci.

Dłgie lata twierdzono, że Polacy w porównaniu z naszymi zachodnimi sąsiadami są owtądnięci historią. Znany niemiecki historyk Rudolf Jaworski

napisał nawet, że Polacy narkotyzują się historią, natomiast Niemcy od niej uciekają. Nie sądzę, aby był to trafny pogląd. Tym bardziej dzisiaj jest on nieprawdziwy. Wszyscy pamiętają głośną publikację pod redakcją Pierre'a Nora *Les lieux de mémoire* (czyli *Miejsca pamięci*)¹. W ostatnich latach temat pamięci stał się modny, zwłaszcza wśród historyków, socjologów i politologów. Powrót do tej problematyki nie jest polskim wynalazkiem. I teraz w Niemczech wydano trzy grube tomy zatytułowane *Deutsche Erinnerungsorte* (czyli *Miejsca niemieckiej pamięci*) pod redakcją Etienne'a François i Hagen Schulze². To bardzo ciekawa lektura. Zwłaszcza pouczające jest uwzględnienie miejsca Polski w zbiorowej pamięci Niemców. Po zapoznaniu się z tą książką można zrozumieć, dlaczego polsko-niemieckie negocjacje bywają tak trudne.

Nie uważam, aby polscy historycy byli jedynymi depozytariuszami pamięci. Powiedziałbym nawet, porównując naszą historiografię z niemiecką, że nie spełniają zadania, jakiego moglibyśmy wymagać od nauki uniwersyteckiej. Jeden przykład. Nie tak dawno miałem w ręku monografię Rudiego Dutschke, jednego z przywódców niemieckiej rewolty w 1968 roku. Został w niej opisany niemalże każdy dzień z jego dorosłego życia. Ilu bohaterów naszego ruchu niepodległościowego czy opozycyjnego doczekało się takiego opracowania? Gdzie można kupić naukową biografię Jacka Kuronia? Uczestniczyłem w obchodach rocznicy powołania „Solidarności Walczącej” w 2007 roku. Przy tej okazji długo rozmawiałem z Kornelem Morawieckim. On i inni członkowie tej organizacji przez lata byli zapomniani. Teraz po raz pierwszy mogli świętować publicznie swoje święto. Dla mnie było to bardzo ważne wydarzenie, także z powodów ideowych. Ten ruch był przecież ciekawym połączeniem myślenia niepodległościowego z tym, co ówczesni opozycjoniści nazywali „solidaryzmem”. A jednak przez lata o nim milczano.

Niedawne doświadczenie Polski nie zostało opisane przez historyków. Ktoś może powiedzieć: to nie zadanie państwa. Nie jest to prawda. Państwo

¹ *Les Lieux de mémoire*, dir. Pierre Nora, t. 1, *La République*, Paris 1984, t. 2, *La Nation*, Paris 1987, t. 3, *Les France*, Paris 1992.

² *Deutsche Erinnerungsorte*, hers. von Etienne François, Hagen Schulze, München 2001.

powołuje katedry uniwersyteckie oraz przyznaje pieniądze na badania i dzięki temu steruje konkretnymi procesami. Pierre Bourdieu w pracy *Homo academicus*³ dobrze ukazał, jak uczelnie są powiązane z państwem; przy czym opisywał wpływy władzy w państwie demokratycznym, a nie w dyktaturze czy w państwie dopiero co budującym swoje zręby i potrzebującym istnienia często bardzo naiwnych mitów o swojej przeszłości. W Berlinie będzie odbudowany Zamek Królewski. Kiedy po zjednoczeniu Niemiec po raz pierwszy pojawiła się ta idea, szukano wsparcia u Polaków. Uważano, że dobrze zdajemy sobie sprawę z wagi historii, zabytków i pomników. Dzisiaj sytuacja radykalnie się zmieniła. To Niemcy budują pomniki. Nawet chętnie zaprosiłbym osoby, które stworzyły Muzeum Historii Niemiec, aby przekonały polską inteligencję, że nie ma nic złego w budowaniu takich muzeów.

Słuchając więc niektórych polskich sporów, mam poczucie *déjà vu*. Przypominają mi się Niemcy późnych lat siedemdziesiątych. W Polsce dopiero niedawno pojawił się sposób myślenia charakterystyczny dla międzynarodowej inteligencji liberalnej. Zdaję sobie sprawę z tego, że podobne zjawiska istnieją wszędzie, a owe międzynarodowe procesy uległy wzmocnieniu. Nawet niektórych naszych wybitnych intelektualistów, niegdyś określających siebie mianem konserwatystów, dzisiaj można zdefiniować jako osoby przynależne do międzynarodowej inteligencji liberalnej.

Jest jednak sprawa poważniejsza. W Polsce mamy do czynienia ze starciem dwóch modeli pamięci. W pewnym sensie żyjemy w kraju niedokończonych wojny domowej. W Polsce w XX wieku dokonywała się radykalna wymiana elit. Dzielimy się na tych, których rodzice lub dziadkowie byli związani z II Rzeczpospolitą, i na tych, którzy ją zwalczali. Wciąż dziela nas dramatyczne losy drugiej wojny światowej. Oczywiście, można starać się przełamywać podziały, ale nie wolno zapominać o ich istnieniu i nie należy sądzić, że znikną one bez śladu. Konkludując: nie dyskutujmy o tym, czy istnieje związek między władzą a pamięcią. Państwo polskie uprawia i będzie uprawiało politykę historyczną. Robił to także Aleksander Kwa-

³ Pierre Bourdieu, *Homo academicus*, Paris 1984.

śniewski, który jako prezydent prowadził chociażby określoną politykę odznaczeń, honorowania jednych, a zapominania o innych. Poważnym tematem nie jest odpowiedź na pytanie, czy państwo ma zajmować się kształtowaniem pamięci, ale jak powinno to robić i jaki obraz polskiej historii należy promować.

Marcin Król

Manipulacje władzy

Po co istnieje władza? Dla utrzymania wspólnoty politycznej. Aby ją wspierać, władza może i powinna zrobić wiele, także w niektórych okolicznościach manipulować pamięcią. Działanie takie bywa skuteczne i nieskuteczne. Efekt zależy od zdolności samej władzy. Obecna władza manipuluje nieskutecznie, a tym samym jej działania nie spełniają podstawowego zadania: nie służą jedności wspólnoty politycznej.

Mogę podać przykłady skutecznego świadomego manipulowania pamięcią w celu zjednoczenia czy też umocnienia wspólnoty politycznej. Pierwszy narzucający się przykład to polityka generała Charles'a de Gaulle'a. Jego umiejętne działania doprowadziły do tego, że Francuzi nie tylko wyparli ze swej świadomości fakt własnej kolaboracji z nazistowskim okupantem, ale także udało się stworzyć mit silnego narodu francuskiego, mit „*La France*”. Były to na tyle skuteczne działania, że przekonanie o nieskazitelności postaw podczas drugiej wojny światowej utrzymało się dłużej niż władza generała.

Generał de Gaulle świadomie dopuścił się tej manipulacji na pamięci. Wiedział dobrze, jaka była sytuacja we Francji podczas okupacji niemieckiej. Na własnej skórze doświadczył tego, co znaczy być w mniejszości. Jednak potrafił o tym zapomnieć. Do przyjęcia takiej postawy zmusiła go sytuacja w kraju, owa *épuration*, kiedy to komuniści rozpoczęli czystki. Masowo dochodziło do samosądów. Ginęli kolaboranci, ale też ludzie, którzy mogli

przeszkodzić partii komunistycznej w przejściu władzy. Znakomity historyk Robert Aron, brat Raymonda, w swej książce *Histoire de l'épuration* twierdzi, że około sto tysięcy Francuzów zostało zabitych przez innych Francuzów. De Gaulle przeciął te rzezie. Spory się zakończyły. Francja urosła do rangi potęgi europejskiej. Oczywiście, Francuzi jeszcze długo debatowali o postawach swoich rodaków podczas wojny, ale dzisiaj te dyskusje nie są kluczowe dla tamtejszej wspólnoty politycznej ani nie obalają one faktów politycznych stworzonych przez de Gaulle'a.

Drugi przykład to działania Józefa Piłsudskiego po 1919 roku. Ten niezwykle wybitny polityk próbował nieświadomie wykonać manewr podobny do późniejszych działań generała de Gaulle'a. Pragnął wokół idei państwowości stworzyć wspólnotę polityczną. Dysponujemy licznymi wypowiedziami Piłsudskiego, w szczególności wileńskim wystąpieniem z okazji rocznicy Legionów, gdzie widzimy, że nie rozumiał on istoty demokracji ani potrzeby sporu politycznego. Był przekonany, że:

- a) Polacy odzyskali niepodległość,
- b) powinni się z tego cieszyć,
- c) mają wspólnie pracować dla dobra kraju, a nie różnić się politycznie.

Wyszedłszy od tych założeń, Piłsudski próbował narzucić Polakom swoje poglądy. Po latach nawet doprowadził do stworzenia partii, która miała być zaprzeczeniem partyjności – chodzi o Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Jednak jego próba manipulacji pamięcią okazała się nieskuteczna. Być może Piłsudski nie miał talentów de Gaulle'a. Może też w tamtym momencie taka operacja na pamięci była niemożliwa. Wreszcie, być może Piłsudski nie rozumiał pewnych elementów otaczającej go rzeczywistości.

Trzeci z podanych przeze mnie przykładów dla wielu będzie zaskoczeniem. Próbą świadomej manipulacji była tzw. gruba linia (nie „gruba kreska”, co zawsze staram się przypominać) Tadeusza Mazowieckiego. Jaki był cel? Mazowiecki, podobnie jak de Gaulle, pamiętając o wszystkich różnicach historycznych i politycznych, chciał zakończyć spór. Pragnął przekonać: zaczniemy budować Polskę, wielką i wspianą ojczyznę. Machnijmy ręką na

to, kto był ubekiem, a kto nim nie był. Zajmijmy się wspólnie tworzeniem przyszłości. Próba okazała się politycznie nieskuteczna. Czy w ogóle mogła się powieść? Nie chcę wchodzić w dyskusję na ten temat ani oceniać pomysłu Mazowieckiego. Przedstawiam jedynie intencję.

Wszystkie wymienione działania pokazują mniej lub bardziej skutecznie manipulacje władzy. We wszystkich tych przypadkach – de Gaulle’a, Piłsudskiego i Mazowieckiego – mamy też do czynienia z działaniami radykalnymi. Można oczywiście podać wiele przykładów działań mniej radykalnych, takich jak manipulowanie przez kolejne władze pamięcią o wojnie wietnamskiej w Stanach Zjednoczonych. Doświadczenie tej wojny było tak wielkim ciężarem, że kolejni rządzący próbowali, w różny sposób, uwolnić się od tego brzemienia. A manipulacje dokonywane w Austrii? Tam nieustannie i na siłę próbuje się zbudować, moim zdaniem bezskutecznie, „austriackość”.

Uważam, że nie można potępiać podejmowania takich działań. Liczy się – odwołam się tu do Niccola Machiavellego – to, czy są one skuteczne, radykalne i wyraźne. Jeżeli nawet prowadzą do cierpienia, to muszą być krótkotrwałe. Nie wolno wchodzić w rozmazane spory i ciągi nieustających zarzutów. Nie mam pretensji o to, że władza w Polsce próbuje manipulować pamięcią. Przeciwnie, uważam, że są to działania naturalne i słuszne. Mój zarzut jest inny: ta praktyka w wydaniu Prawa i Sprawiedliwości naruszała solidność wspólnoty politycznej. Innymi słowy: manipulując pamięcią, władza dzieliła, a nie łączyła. Zgodziłbym się nawet z koniecznością dokonania tych podziałów. Jednak po nich musi nastąpić szybkie zasypanie rowów. Rząd PiS-u tego nie potrafił, zatem lepiej gdyby nie zabierał się do gmerania w pamięci. Wytworzył tylko niedobłą sytuację i pozostawił społeczeństwo w stanie rozpadu.

Joanna Tokarska-Bakir

Nęcza polityki historycznej

Rozmowa o relacjach między pamięcią a władzą jest dla mnie nieodłącznie związana z terminem „polityka historyczna”, ponieważ w rozumieniu przeciętnego człowieka z takim mianem kojarzy się polityczne dysponowanie pamięcią.

Według Marianne Hirsch zawsze istnieją przeszkody w bezpośredniej dyskursywizacji wydarzeń traumatycznych oraz w ich przetwarzaniu w składnik pamięci. Te przeszkody można podzielić na dwie grupy: naturalne, związane z tym, że konkretne wydarzenia z trudem mieszczą się w ludzkiej zdolności pojmowania, oraz kulturowe, łączące się właśnie z polityką historyczną. Niedobrze się dzieje, kiedy polityka przysparza trudności w przyswajaniu faktów i tak już w naturalny sposób trudnych „do obróbki” przez pamięć, bo ze względu na ich traumatyczność chętnie wypieranych. Jeśli ta sytuacja trwa wystarczająco długo, to zamiast z pamięcią szybko zaczynamy mieć do czynienia z „postpamięcią” (termin Marianne Hirsch). Postpamięć to ładunek przemieszczającej się traumy, która wskutek przeszkód społecznych lub indywidualnych psychicznych nie mogła zostać w miarę sprawnie rozładowana, a kiedy wreszcie się do świadomości przebiła, nie może zostać **zobiektywizowana** – a tym samym, na ile się to może w ogóle udać, wyleczona czy też ograniczona: najczęściej nie żyją już świadkowie zdarzeń, nie można o nich sensownie rozmawiać, rzecz się mitologizuje i produktami swojego rozkładu zatruwa cały organizm. Całe społeczeństwo

cierpi wskutek takich działań. (Marek Cichocki, który niesienie ulgi ludziom traumatyzowanym historią uznał za godny ubolewania produkt „kultury terapeutycznej”, powinien raczej skutki swoich poglądów sprawdzać na samym sobie, niż fundować eksperymenty psychiatryczne całemu społeczeństwu).

W historii europejskiej znajdujemy wiele dowodów na to, jak mszczą się długo odwlekane dyskusje. Polityka historyczna Charles’a de Gaulle’a jest dobrym przykładem tego, jak trudno po jakimś czasie rozwiązywać zadawnione problemy. Przywołam film Marcela Ophülsa *Le Chagrin et la pitié*, bo jego losy dobrze pokazują istotę polityki historycznej tamtych czasów. Przez wiele lat ten film nie był wyświetlany we Francji. Uzasadniano to następująco (to cytat ze współczesnej wypowiedzi, usprawiedliwiającej ten przypadek cenzury): „nie pokazujemy dzieła Ophülsa, ponieważ niszczy ono mit, którego potrzebuje francuski lud”. To politycy zdefiniowali to, co było potrzebne francuskiej wspólnoty. Politycy czasem zbyt dobrze wiedzą, czego potrzebują wspólnoty narodowe. Na przykład w „mie, którego potrzebował francuski lud”, zawierało się poważne niebezpieczeństwo dla wspólnoty.

Marie von Ebner-Eschenbach twierdzi, że o znaczeniu słów przekonujemy się na podstawie echa, jakie one wywołują. Określenie „polityka historyczna” wywołuje w Polsce echo, w które twórcy owej polityki zbyt rzadko się wsłuchują. Trzeba się zastanowić, dlaczego w kraju, który ma za sobą doświadczenia przemocy zadawanej historii przez stalinowską, gomułkowską, a potem gierkowską politykę historyczną, to ostatnie pojęcie wywołuje tak silny opór.

W dzisiejszych dyskursach publicznych w punktach spornych mamy zwyczaj odwoływać się do nauki. Zasada ta nie w każdym przypadku jest właściwa, bo nauka nie zawsze pozostaje w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, ale akurat w tej sytuacji byłoby wskazane stanięcie na gruncie nauki i postulowanej przez nią rozdzielności dyscyplin, a nie pójście za przykładem bliskiego mojemu sercu Clifforda Geertza, sugerującego, by gatunki mącić, a granice zacierać. Jeśli, jak za Nietzschem mówi Krzysztof Michalski

(w książce *Płomień wieczności. Eseje o myślach Fryderyka Nietzschego*), „historia to jeszcze jedna nazwa na świat, w którym żyjemy”, to polityka historyczna byłaby polityką świata, w którym żyjemy, czyli po prostu polityką. Polityka historyczna jest bowiem zwykłą polityką, próbującą zdominować historię. Na to zgody być nie może.

Pojawia się pytanie: kogo owa polityka usiłuje naprawdę zdominować? Historię czy historyków? Z protestami zgłaszają się zazwyczaj historycy, ale to przecież nie historycy są podmiotem historii. Podmiotem historii jest „lud” – „*peuple*” – „*people*”, by przywołać to archaiczne, ale znaczące słowo. Sądzę, że w tym właśnie kontekście można przypomnieć inną kategorię, przy okazji polityki historycznej niebezpiecznie się zawężającą – kategorię „dobra”, które nie jest sprowadzalne tylko do „dobra wspólnego”, a mimo to lepiej niż ono służy wspólnocie. Warto też przywołać kategorię prawdy, której nie można sprowadzić do prawd wygodnych, kategorię, o której Cyprian Kamil Norwid mówił, że „ma przywilej całości”, i dodawał: „tylko prawdy licze fałszem dosztukowywać się potrzebują”.

Sądzę wreszcie, że polityka historyczna ma skłonność do wad znanych już z dziejów dyskursu o historii. Myślę tu o dwóch głównych kategoriach manipulacji historycznych. Pierwsza, rzadziej dziś występująca, to *suggestio falsi*, czyli sytuacja, kiedy forsowane są jawnie fałszywe reprezentacje historii. Druga, częstsza, szczególnie ulubiona w polityce historycznej, to *suppressio veri*. W tym drugim przypadku pewne niewygodne reprezentacje historii są po prostu pomijane. I na tym właśnie – na wykrywaniu obu tych manipulacji: fałszywych reprezentacji, a także pomijania reprezentacji niewygodnych, które nie zgadzają się z projektowaną wizją historii – polega wielka rola zawodowych historyków.

I jeszcze jedna uwaga na temat polskiej polityki historycznej. Jej projektanci często sugerują (tak na przykład relacjonuje ich poglądy Dariusz Gawin, przywoływany ostatnio przez Michała Głowińskiego¹), że dążenie do pełnej prawdy o historii jest przejawem naiwności politycznej, zasada-

¹ Zob. Michał Głowiński, *Esej Błońskiego po latach*, „Zagłada Żydów. Studia i materiały” 2007, nr 2: „Według jednego z ideologów polityki historycznej, Dariusza Gawina,

jącej się na idei chrześcijańskiego „przeanielenia”. W miejsce „patriotyzmu krytycznego” proponują oni „partiotyzm nowoczesny”, gdzie „doświadczenia pozytywne okazują się ważniejsze od negatywnych i haniebnych, a bohaterowie od zdrajców i tchórzy”². W ślad za tym idzie sugestia kolejności przywoływanych argumentów: chodzi o zachowanie „właściwego porządku mówienia, to znaczy takiego, w którym afirmacja poprzedza (ale nie wyklucza) krytyczny osąd”³.

Kwestionując to stanowisko, chciałabym wskazać na marną antropologię, którą jest ono zagrożone. Żle rokuje wizja człowieka czy narodu ufundowana na anielstwie. Dobra definicja człowieka, najbardziej mu sprzyjająca i nieprzypadkowo także bliska chrześcijaństwu, to definicja Johanna von Herdera: nazwał on człowieka istotą obdarzoną brakiem, *Mangelwesen*, stworzeniem, które właśnie ze swojego permanentnego braku (*malum*), upośledzenia, niedostosowania – w stosunku do znakomicie przystosowanych do natury zwierząt – wyprowadza swoje największe dobro (*bonum*), samą zdolność do bycia człowiekiem. Polityka historyczna, propagująca anielstwo, z konieczności musi zajmować się *suppressio veri*, tłumieniem tych aspektów historii narodowej, z których niekoniecznie możemy być dumni. Wizja wspólnoty zbudowanej na dumie, przeciwstawionej wspólnocie zbudowanej na hańbie, wydaje mi się z gruntu fałszywa. Bliska mi jest natomiast wizja narodu dojrzałego, który potrafi przyznać się do błędów popełnionych przez przodków, przeciwstawionego narodowi dzieciniałemu, który do haniebnych zachowań przyznać się nie umie.

«Błoński popełnia błąd, bo zakłada, że odpowiedzialnością na polskie zbiorowe przyznanie się do winy będzie sprawiedliwa ocena postawy wobec Holokaustu. Projektanci ‚polityki historycznej‘ zarzucają Lipskiemu i Błońskiemu (oraz ich niewymienionym z nazwiska epigonom) naiwną próbę chrześcijańskiego ‚przeanielenia‘. Z ich punktu widzenia to coś więcej niż naiwność – to polityczny błąd, za który płacimy jako wspólnota. ‚Patriotyzm krytyczny‘ niebezpiecznie zbliża się do przyjęcia obcej interpretacji dziejów, w domyśle – szkodliwej dla polskiej wspólnoty»”. Cytat wewnętrzny w tekście Głowińskiego za: Adam Leszczyński, *Polityka historyczna. Wielki strach*, „Gazeta Wyborcza”, 7.04.2006.

² *Pamięć i odpowiedzialność*, red. Robert Kostro, Tomasz Merta, Wrocław 2005.

³ Kazimierz Michał Ujazdowski, Tomasz Merta, Robert Kostro, *Polityka historyczna i jej wrogowie*, „Gazeta Wyborcza”, 6.04.2006.

Dyskusja

Karin Tomala

Polacy uważają siebie za naród bohaterski. Za swą postawę w przeszłości są także cenieni przez inne, przede wszystkim europejskie narody. Czy jednak chwalebne czyny z przeszłości uprawniają do wysuwania roszczeń i do żądania specjalnego traktowania przez innych? Tak właśnie są odbierane w Niemczech ostatnie działania polskich władz.

Oczywiście, jak słusznie zauważył Marcin Król, pamięć była i jest narzędziem w rękach władzy. Zawsze też instrumentalnie traktowano pamięć. Dzisiaj, nie tylko w Europie, można dostrzec powrót do historii i sięganie do wzorców zaczerpniętych z przeszłości. Dobrym przykładem jest Azja. Tam neokonfucjanizm bywa traktowany nie tylko jako jeden z ważnych elementów tradycji, ale też jako nowy instrument władzy.

Na koniec jedna uwaga na temat Wrocławia. Hala Stulecia, ostatni temat gorących sporów, to przede wszystkim cenne dziedzictwo kulturowe. Powrót do dawnej nazwy jest świadectwem respektu nie tylko dla przodków, ale też dla wybitnego dzieła architektury.

Bogusław Gertruda

W nawiązaniu do wygłoszonej przez Marcina Króla apologii polityki historycznej prowadzonej przez generała Charles'a de Gaulle'a oraz w od-

niesieniu do przywołanego w tym kontekście przez Joannę Tokarską-Bakir przykładu filmu Marcela Ophülsa *Le Chagrin et la pitié*, niedopuszczanego przez pewien czas na ekrany, chciałbym zapytać, czy każda polityka historyczna prowadzona przez władze państwowe musi zakładać istnienie mniej lub bardziej subtelnej cenzury lub autocenzury, czyli konieczność użycia przemocy strukturalnej? Mówiąc inaczej: czy można uniknąć ograniczeń i opresji przy prowadzeniu polityki historycznej, czy też jest to smutna konieczność?

Mikołaj Pietrzak

Zaniepokoiła mnie wypowiedź Marcina Króla, dopuszczająca manipulację pamięcią. Przywołał on dwa przykłady z historii: działań generała de Gaulle'a i Józefa Piłsudskiego. Zastanawiam się, na ile ich działania mogą być uzasadnieniem dla manipulowania historią przez władzę w nowoczesnej demokracji liberalnej? Czy nie wymagamy od władz w demokratycznym państwie tego, by przyczyniały się do traktowania historii w sposób nieinstrumentalny? Zdaję sobie sprawę, że mówię o sytuacji idealnej, ale wszystkie wysiłki władz publicznych powinny przybliżać nas do dojścia do prawdy, nawet jeśli nie służy ona realizacji bieżących lub choćby długoterminowych celów politycznych.

Daria Nałęcz

Chciałabym zapytać o konflikt między interesem wspólnoty a interesem indywidualnym. Czy pamięć nie mieści się na liście przejawów wolności, o którą przez lata walczyliśmy? Czy nie mamy prawa uważać, że pamięci jest tyle, ile nas, tyle, ile zbiorowości – i że każda z tych pamięci powinna być przez strukturę wspólną, czyli państwo, równie chroniona? Pamięć w tym rozumieniu stanowi element naszej tożsamości. Czy w związku z tym wszyscy mamy mieć tę samą tożsamość? Mówiąc inaczej: którądy przebiega granica między roszczeniami totalnymi naszej wspólnoty a liberalnymi dążeniami do zachowania indywidualnych, różnych tożsamości?

I krótka uwaga dotycząca Józefa Piłsudskiego. Niewątpliwie, na przełomie 1918 i 1919 roku uważał on, że otrzymał funkcję publiczną, aby jednoczyć społeczeństwo. Zdaniem Piłsudskiego w tym momencie podtrzymywanie podziałów groziłoby wojną domową. Być może należy uznać, przyjmując rozumowanie Piłsudskiego, że w chwili zagrożenia bytu państwa kategoria wspólnoty powinna przeważać nad kategorią rozproszenia i wewnętrznego głębokiego podziału społecznego. Jeżeli jednak takie zagrożenie nie istnieje, to nie mam już pewności, czy i jakie wartości powinny być nam wspólne.

Dariusz Stola

Roszczenia władzy państwowej do ingerencji w sferę społecznych wyobrażeń o przeszłości muszą zostać jakoś uzasadnione i powinny być ograniczone. Kilka uzasadnień tu przedstawiono. Mówiono, że władza musi ingerować, bo tylko dzięki temu możliwe jest przechowanie przez wspólnotę pamięci dłużej niż przez trzy pokolenia. Innym wytłumaczeniem było to, że władza w Polsce musi prowadzić politykę pamięci, bo robią to inne narody, w szczególności Niemcy. Marcin Król, który jako jedyny uzasadniał prawo do interwencji, starał się wyznaczyć jej dopuszczalne granice. Mam pytanie do innych: jakie są te dopuszczalne granice działania, zwłaszcza przy użyciu przemocy, ale też w przypadku wydatkowania grosza publicznego i korzystania z aparatu państwowego?

We wprowadzeniach do dyskusji skupiono się na władzy państwowej. To nie jedyny istniejący rodzaj władzy. Oprócz rozproszonej władzy każdego nad własną pamięcią czy wyobraźnią historyczną istnieją też inne władze niepaństwowe: głowy rodziny (obojętnie, czy to będzie kobieta, czy mężczyzna), kościołów, rozmaite autorytety. Z badań opinii społecznej w Polsce wynika, że największy autorytet w sprawach dotyczących przeszłości ma świadek naoczny, a następnie historyk zawodowy. Państwo, roszcząc sobie prawo do ingerencji w wyobrażenia przeszłości, nie wchodzi na puste pole. Naiwne wydaje się przekonanie, że to ziemia niczyja. Pamięć społeczna jest

objęta złożoną siatką władzy, zależności, autorytetów. Dlatego też interwencja państwa w tę przestrzeń musi być dobrze uzasadniona i jak każda taka ingerencja – ograniczona. Dyskutanci chyba zgodzą się, że dobry rząd to rząd ograniczony. Stosuje się to także do spraw pamięci.

Marcin Król

Jakie są graniczne warunki używania przemocy przez władze w celu manipulowania pamięcią? Nie można ostro wyznaczyć tej granicy, ale warunkiem koniecznym do uprawnionego zastosowania przemocy jest interes całości wspólnoty politycznej. W większości liberalnych, demokratycznych społeczeństwach ten interes nie jest zagrożony. W przywoływanym przeze mnie przykładzie Francji w danym momencie istniała groźba wybuchu wojny domowej. Generał de Gaulle zaingerował właśnie w tej sytuacji. Podobnie było w przypadku Józefa Piłsudskiego.

Wspomniałem także o *casusie* Austrii. Dlaczego władze tego kraju podjęły grę z pamięcią? W Austrii po drugiej wojnie światowej nie przeprowadzono denazyfikacji. Pozostaje jednak problem radzenia sobie z przeszłością. Proces ten powoli przechodzi. Powtarzam, manipulacje są dopuszczalne w krytycznych sytuacjach. Dzisiaj Francja nie potrzebuje takich zabiegów, podobnie jak Włochom nie jest niezbędny mit zjednoczeniowy Mazziniego.

Wróć do przypadku dzisiejszej Polski. Dlaczego mam problem z próbami manipulacji historią, dokonywanymi przez rząd Prawa i Sprawiedliwości? We wstępie do *Rozważań* Niccolò Machiavellego można znaleźć trafną uwagę: ponieważ w gruncie rzeczy stan świata się nie zmienia, a natura ludzka pozostaje taka sama, to zdumiewa mnie, dlaczego ludzie nie uczą się historii. Zatem, idąc za Machiavellim, w obliczu niezmienności świata czy natury człowieka możemy dużo nauczyć się z historii. Mój zarzut wobec naszych władz polega na tym, że niczego nie nauczyły się z polskiej historii.

Zbigniew Bujak

Niektóre nieruchomości, niegdyś niemieckie, dzisiaj polskie, są nie tylko odnowione, ale też umieszczono na nich informację o dawnych właścicielach. Chciałbym za to podziękować. W tym podejściu są jakaś siła oraz pewność i jakieś poczucie podmiotowości. To pokazanie: wzięliśmy waszą własność i, korzystając z niej, budujemy przyszłość w naszym kraju. Przyjezdny z Niemiec, widząc taką informację, zapewne myśli: proszę bardzo, nie boją się! Chciałbym podziękować prezydentowi Szczecina za podjęcie decyzji o odbudowie niemieckiej Starówki zburzonej przez armię sowiecką. Na takich decyzjach można budować wzajemne relacje. Chciałbym też podziękować wójtowi pewnej gminy, który znalazł jakiś przewrócony kamień – okazało się, że był on poświęcony Bismarckowi. Wójt odnowił ten kamień. Nie bał się. Widzę w tym czynię siłę i powagę. Nie wiem, czy człowiek ten wiedział o roli, jaką Bismarck odegrał w historii Europy, i czy byłby w stanie wziąć udział w dyskusji o tym, czy da się dzisiejszą Europę zrozumieć bez Bismarcka. Z przykrością muszę zauważyć, że od razu pojawiły się głosy: „Nie! Bismarckowi nie można stawiać pomników! On nas germanił!”. Chciałbym zapytać: i co, zgermanił nas? Ten odnowiony postument nie jest świadectwem niemieckiej dominacji, lecz symbolem naszego zwycięstwa. Możemy się tym chwalić! Chciałbym, aby tego typu postawy nie były charakterystyczne jedynie dla władz lokalnych, ale żeby można było je zobaczyć na najwyższych szczeblach władzy.

Dariusz Gawin

Maciej Janowski w swym wystąpieniu sięgnął po argumenty dobrze znane każdemu polskiemu inteligentowi. Są one ciągle powtarzane w dyskusjach toczonych w każdym pokoleniu. Mówi się w nich często: te dumne wyobrażenia o własnej przeszłości brzmią śmiesznie, bo wszystkie narody w Europie mają podobne roszczenia do wielkości. Czy ta krytyka dotyczy także Anglii albo Stanów Zjednoczonych? Czy opowiadanie np. o wielkości konstytucji amerykańskiej jest śmieszne? Oczywiście, że nie – można

usłyszeć w odpowiedzi – bo to przecież historia uniwersalna. Okazuje się zatem, że tylko dzieje Europy Środkowej są śmieszne. Tym samym zakłada się istnienie hierarchii między narodami: niektóre roszczenia do kształtowania pamięci zbiorowej są obiektywnie uzasadnione, inne zaś okazują się nieuprawnione, godne wyśmiania.

Czy jednak Polska to Czechy? Czy Polska to Słowacja? Nie chodzi mi o sprowadzanie dyskusji do poziomu: „nas było więcej”. Jednak nie wolno zapominać, że mieliśmy inną i bardziej złożoną historię. Polska nie jest Czechami ani Słowacją, przy całym szacunku do tamtejszych społeczeństw i narodów. W latach osiemdziesiątych zaczytywałem się prozą Bohumila Hrabala, Milana Kundery i Josefa Škvorecký'iego. Powtarzano: Czesi to wspa- niały naród. Są dowodem na to, że Słowianie mogą być społeczeństwem mieszczańskim. Pracują cierpliwie, a nie wywołują powstań. Warszawa została zburzona, a piękna Praga stoi. Jednak w istocie my, Polacy, mieli- śmy inną historię, byliśmy w innej sytuacji. Specjalnie nie używam takich słów, jak „los”, „przeznaczenie”, „charakter narodowy”, tylko postępuję się pojęciem „sytuacji w czasie i przestrzeni”. Polskie „usytuowanie” w historii jest inne – nie twierdzę, że lepsze czy gorsze, po prostu inne. Wrzucanie nas do jednego worka z innymi krajami Europy Środkowej powoduje, że wychowuje się pokolenia, które nie są w stanie rozpoznać sytuacji i pojąć tego faktu. A to może skutkować złą polityką.

Kluczową sprawą związaną z manipulacjami pamięcią jest problem dumy. Charles de Gaulle określił przeszłość grubą linią, ale równocześnie powiedział Francuzom: musicie być dumni, Francja jest wielka i ma swoje przeznaczenie. I odniósł ogromny sukces. Natomiast polityka historyczna III Rzeczypospolitej w latach dziewięćdziesiątych poniosła klęskę, ponie- waż panicznie bano się połączenia „grubej linii” i dumy. Wybrano tylko to pierwsze. Podam jeden przykład – ponoć Tadeusz Mazowiecki jako premier pieczętowanie wykreślał ze swoich przemówień słowo „naród”. Nie dlatego, że nie był patriotą – bo przecież jest wielkim polskim patriotą. Uważał jednak to słowo za niebezpieczne. Dokonał określonego wyboru aksjologicznego. Być może tu da się odnaleźć korzenie porażki. Politycy mają obowiązek

zapropowania języka, w którym ludzie się odnajdą i który pozwoli im wyrazić dumę z bycia razem. W latach dziewięćdziesiątych nie zaproponowano demokratycznego i nowoczesnego języka dumy narodowej. Z tego powodu stało się dużo złego. Rząd Jarosława Kaczyńskiego popełniał błędy, za które był brutalnie atakowany. Jednak nie da się już odwrócić niektórych spraw. Dziś już nie dyskutujemy o sensowności prowadzenia polityki historycznej. Rozmawiamy o tym, jaką politykę trzeba prowadzić. To wielki sukces. Zmieniła się nasza świadomość.

Moje ostatnie uwagi dotyczą naszych sąsiadów. Powinniśmy zrozumieć, że zmiany, jakie zaszły w Niemczech po drugiej wojnie światowej, były, używając języka Arnoldda Toynbeeego, odpowiedzią na unikalne wyzwanie. Nie każdy europejski naród rozpułtał w XX wieku dwie wojny światowe i je przegrał. Odpowiedzią na tę sytuację było przepracowanie niemieckiej pamięci, świadomości i polityki. Powstało posthistoryczne i postnowoczesne społeczeństwo demokratyczne. Jednak nie można podobnej drogi proponować innym: Francuzom, Anglikom ani też Polakom. Powinniśmy to zrozumieć, ale też wytłumaczyć Niemcom naszą odmiennność. Szanujemy ich dorobek, lecz była to ich odpowiedź na unikalne wyzwanie niemieckiego losu. Nie można tego doświadczenia przenosić do Polski. Musimy to sobie wreszcie uświadomić. Pomoże nam to w uniknięciu wielu problemów w przyszłości.

Polska dzisiaj musi umiejętnie poruszać się w przestrzeni między posthistorycznymi Niemcami a bardzo „historyczną” Rosją. Proponowanie łatwych rozwiązań „zero-jedynkowych” (np. takich, że nasza historyczność ma ustąpić posthistoryczności) jest abstrahowaniem od naszego położenia. Uzmysłowanie sobie tego, że sytuujemy się między Niemcami Angeli Merkel a Rosją Władimira Putina, pozwala na dostrzeżenie skali i skomplikowania dzisiejszych wyzwań. Nie można zatem powtarzać, iż rząd Prawa i Sprawiedliwości prowadzi złą politykę historyczną, bo wystarczy „dalsze doskonalenie” (starsi pamiętają tę Gierkowską frazę) idealnego modelu relacji polsko-niemieckich, wypracowanych w latach 1990–1992. To nie jest odpowiedź na obecne wyzwania, ponieważ żyjemy już w innej rzeczywistości.

Halina Bortnowska

Zgadzam się z uwagą Darii Nałęcz, że pamięć jest jedną z form wolności. W moim odczuciu pamięć powinna znajdować się pod ochroną jako jedno z praw człowieka, przede wszystkim jako prawo jednostki, ale też prawo tworzonych przez jednostki wspólnot. Przyjęłam za prawdę, że społeczeństwa europejskie stają się pluralistyczne, szczególnie w zakresie pamięci, i żadna odgórna polityka nie powinna tego ładu naruszać. W tej sytuacji można coś proponować, ale nie wolno zmieniać pamięci poprzez jeden obowiązkowy ryt, narzucony siłą pieniędzy czy organizacji. Boję się takich pomysłów. Ludzie zapewne i tak będą przekształcać swoją pamięć we wspólną, podzielaną przez większą zbiorowość, w tym przez mieszkańców terytorium Polski, ale ten proces musi odbywać się dobrowolnie. Nie powinno się go dokonywać poprzez eliminację czy zastrzyki fakszu. Takich działań można się jednak obawiać, ponieważ coś złego dzieje się z samą historią.

Dla mnie historia i pamięć nie są ze sobą tożsame. Historia jest obróbką źródeł, dialogiem z pamięcią, pracą naukową. Odnoszę wrażenie, że z tą ostatnią mamy dzisiaj kłopoty. Naukowość oznacza życie jedynie hipotezami. Mogą one zostać do jakiegoś stopnia potwierdzone, ale częściej są obalane. Jeżeli ocaleją, to oznacza, że mogą być przydatne, ale nigdy nie staną się objawieniem obowiązkowym dla wszystkich. Dlatego też nie należy tworzyć monolitycznych instytucji, gdzie określony rodzaj historii przyjmuje się jako obowiązującą regułę, gdzie tylko ten jeden rodzaj jest dopuszczony, a badacze przyjmujący inny są zmuszani do odejścia. Nie powinny funkcjonować instytucje, których produkty mają uprzywilejowany status i w których naukę myli się z formułowaniem werdyktów sądowych. Czym innym jest przecież wyrok sądu, a czym innym hipoteza historyczna.

Przeraża mnie brak świadomości metodologicznej, jaki obserwuję u młodych ludzi, którzy zamierzają zajmować się historią. Niektórzy przygotowują się do zajmowania się *public relations*, a nie do uprawiania nauki. Przypomina mi to najgorsze czasy. Pamiętam, co robiono z naszą pamięcią

w latach czterdziestych. Polecam książkę Hanny Świdy-Ziemby *Urwany lot*¹, która pokazuje, co zrobiono z dorastającym wówczas pokoleniem. Powinno to być dla nas ostrzeżeniem.

Adam Pomorski

W wielu wypowiedziach dość gładko utożsamiono pamięć i historię. Nie są to tożsame sfery, na co słusznie zwróciła uwagę Halina Bortnowska. Zresztą podobnych utożsamień było więcej. Nie można też sprowadzać polityki historycznej do prostego montowania nowych konfiguracji pamięci. Dlaczego? Mówiono tu – mam na myśli wystąpienia Marka Cichockiego, Dariusza Gawina i Zdzisława Krasnodębskiego – przede wszystkim o polskiej pamięci w ujęciu izolacjonistycznym, nawet jeżeli nie używano pojęcia „narodowy”. Ale nie ma takiej pamięci polskiej! Pamięć jest przywiązana do ludzi i miejsca. Jest wielospołeczna i wielonarodowa.

Przywołam przykład tragicznego blamażu tak rozumianej polityki historycznej. Niedawno zaproponowano wybudowanie w Warszawie pomnika upamiętniającego polskie ofiary rzezi na Wołyniu. Miał on przedstawiać pozabijane dzieci wiszące na drzewie. Jego wykonawcą miał być prof. Marian Konieczny, członek PZPR-u i autor pamiętnego pomnika Lenina w Nowej Hucie. Co się okazało? Zdjęcie, na którym się wzorowano, pochodzi z kroniki kryminalnej z lat dwudziestych i nie dotyczy stosunków polsko-ukraińskich. O jakiej pamięci tu mówimy? A jednak ta fotografia wciąż ma być świadectwem polskiej martyrologii. Podobnych blamaży czeka nas więcej, jeżeli do kwestii pamięci nie podejmiemy z historycznym racjonalizmem.

Rozumiem potrzebę rewindykacji pamięci historycznej, o której tu mówiono. Jednak niepokoi mnie dyskurs, którego się przy tej okazji używa: nie tylko izolacjonistyczny, ale też konfrontacyjny. Szczególne miejsce zajmujące w nim kontrowersja niemiecka. Jedynie Dariusz Gawin wspominał o naszych

¹ Hanna Świda-Ziemba, *Urwany lot. Pokolenie inteligenckiej młodzieży powojennej w świetle listów i pamiętników z lat 1945–1948*, Kraków 2003.

wschodnich sąsiadach. Zresztą i on wymienił tylko Rosję. Czy po kilku latach od śmierci Jerzego Giedroycia pożegnaliśmy się z jego koncepcją pamięci wielonarodowej? Z postulowanym przez niego uzgadnianiem tych pamięci, bez dominacji jednej ze stron? Jeżeli mówimy o polityce historycznej Polski niepodległej, to czy możemy pominąć koncepcję Giedroycia? Możemy się z nią nie zgadzać, ale należy o tym publicznie powiedzieć.

W naszych dyskusjach powraca spór z Niemcami. W rozwikłaniu tego problemu przydatna może być historia, a nie pamięć. Nie zapominajmy, że w przeszłości to raczej imperia miały prawo do posiadania historii, a nie państwa narodowe. Do tej pory borykamy się z „zachodnim” stereotypem, że Europa Środkowa to obszar poza historią. Niedawno padła propozycja ze strony niemieckiej, pospiesznie przez Polskę odrzucona, by przygotować wspólny podręcznik historii dla Unii Europejskiej. Przestraszyliśmy się imperiów europejskich, panujących nad dziejami narodów z naszej części Europy. Czy jednak nie była to szansa, aby ten obszar nie został historycznie zdominowany przez perspektywę imperialną?

W dyskursie zwolenników polityki historycznej niepokoi mnie jeszcze jedno. Łatwo poukładać mapę i powiedzieć: tu są posthistoryczne Niemcy, a tam historyczna Rosja. Przy czym mówimy raczej o konstrukcjach ideologicznych, a nie o rzeczywistości. Jednak sytuacja jest bardziej skomplikowana. Coraz częściej, zwłaszcza w świecie anglosaskim, pojawia się polemika z ideą *nation state* – państwa narodowego. Deklaruje się m.in. odejście od traktatu westfalskiego. Sugeruje się porzucenie idei suwerenności państwowej, jak również idei suwerenności ideowej państwa na rzecz imperium cywilizacyjnego. Jak do tych propozycji ma się propagowana obecnie w Polsce idea polityki historycznej?

Andrzej Skrzypek

Nasza dyskusja pokazuje regres w myśleniu o historii. Inne są zakres, cele i zadania tzw. historii ustnej, czyli oralnej (opowiadanej), a inne historii naukowej. Oczywiście, każdy może pisać o historii, względnie może tworzyć swoją

wersję dziejów. Nic z tego jednak nie wynika. Jeżeli historia ma być nauką, to musi pozostawać w rękach profesjonalistów. Domeną historii opowiedanej pozostaje natomiast przechowywanie odczuć i wrażeń, co spełnia swoją funkcję w podtrzymywaniu tradycji, czasem prawdziwej, czasem nie.

Chciałbym polemizować z kilkoma przedmówcami. Tysiącletnie doświadczenie dziejowe dało Polsce do wyboru dwie idee państwowe: piastowską i jagiellońską. Jeśli chcemy skutecznie realizować którąś z nich, to musimy konsekwentnie prowadzić politykę odpowiadającą tejże idei. W przypadku czerpania raz czegoś z tej, raz czegoś z tamtej, trudno liczyć na powodzenie naszych działań.

Kończąc, stawiam jedno pytanie: czy polityka historyczna obecnej władzy nie zginie wraz z jej upadkiem? Czy warto się nią zajmować? Obawiam się, że z tą polityką historyczną będzie tak, jak bywa ze zmianami nazw ulic. W Radomiu nazwę głównej ulicy zmieniano w XX wieku dziesięć razy! *Cuius regio, eius vias nomen*.

Joanna Tokarska-Bakir

Dariusz Gawin nie zgodził się z interpretacją swoich poglądów przez Michała Głowińskiego. Chciałabym jednak zacytować jedno zdanie ze wspomnianego przeze mnie artykułu. Michał Głowiński zauważa: „Mówienie o sprawach polskich językiem etyki bliskim wartościom ewangelicznym wciąż budzi opory u tych autorów, którzy chętnie powołują się na wartości chrześcijańskie”².

Natomiast na pytanie o granicę polityki historycznej odpowiedziałabym: jest nią wykluczenie części społeczeństwa przez język dumy, którego rewers stanowi język hańby.

Zdzisław Krasnodębski

Zacznę od wyjaśnienia, dlaczego przywołałem przykład Niemiec. Przez wiele lat uważano, że są one przykładem państwa posthistorycznego. Po-

² Michał Głowiński, *Esej Błońskiego po latach*, „Zagłada Żydów. Studia i materiały” 2007, nr 2.

woływano się też chętnie na określenie „patriotyzm konstytucyjny”, ukute przez Jürgena Habermasa. Chciałem pokazać, że nawet w sytuacji państwa posthistorycznego i społeczeństwa pluralistycznego można mówić o polityce historycznej. Jej prowadzenie nie oznacza odbierania prawa do pamięci ani też ograniczania badań naukowych. Wreszcie, warto zwrócić uwagę na to, że również społeczeństwa wielokulturowe są w pewien sposób zintegrowane, a problem poszukiwania elementów łączących wspólnotę staje się jednym z najważniejszych w dzisiejszej Europie. Dzieje się tak nawet w wielokulturowej Holandii.

Czy należy zapomnieć o dawnych podziałach i ukonstytuować wspólnotę, czy też trzeba pamiętać o grzechach? Czy podkreślać jedynie rzeczy chwalebne, z których możemy być dumni, czy wręcz przeciwnie – skupiać się na przewinieniach? Chciałem zwrócić uwagę na jedną prawidłowość: postulujący zapominanie równocześnie mówią o tym, co powinniśmy pamiętać. Generał de Gaulle powiedział Francuzom: nie pamiętajcie o Vichy, ale nie zapominajcie też, że to ja w tym samym czasie przebywałem na wygnaniu w Londynie. Niewielu było wolnych Francuzów, ale to my byliśmy prawdziwą Francją.

Nie zgadzam się z Marcinem Królem, kiedy mówi on o manipulacji. Powinniśmy mówić raczej o pamięci i zapominaniu. W Polsce od osiemnastu lat toczy się dyskusja właśnie na ten temat. Niektórzy mówili: zapomnijmy o ubekach, ale pamiętajmy o szmalcownikach. Zawsze uważałem: pamiętajmy i o jednych, i o drugich. Mówiąc o manipulacji, zakładamy, że możemy dowolnie wytwarzać historię, fałszować dokumenty. Oczywiście, były przypadki nieszczęsnych narodów, które konstruowały swoją przeszłość, fałszując ją. Jednak nie musimy wierzyć Ericowi Hobsbawmowi, że wszystko jest jedynie sferą *invention*. Nie musimy wymyślać wielkości I Rzeczypospolitej. Zgadzam się w jednym ze Zbigniewem Bujakiem: nie musimy się bać.

Tadeusz Mazowiecki też chciał zbudować wspólnotę. I – moim zdaniem – w pewnym stopniu była to udana próba. Tylko że ja źle się czułem w tej wspólnocie. Pewna grupa została zmarginalizowana. To był koszt tak sfor-

mułowanego projektu. Zakładano wspólnotę z członkami PZPR-u, ale nie z działaczami „Solidarności Walczącej”, z radykałami, nacjonalistami. Można się zastanawiać, dlaczego ten projekt nie zakończył się pełnym sukcesem. Czego zabrakło? Czemu Tadeusz Mazowiecki nie okazał się polskim de Gaulle’em? Niektórzy twierdziliby, że zabrakło pierwszego ostrego cięcia. Rozliczenia, o które tak dopomina się Jarosław Marek Rymkiewicz. Uspokojenie zawsze przychodzi później. Konrad Adenauer mógł zasypywać podziały w powojennych Niemczech, ponieważ wcześniej alianci dokonali denazyfikacji.

Tadeusz Mazowiecki, inaczej niż Charles de Gaulle, nie powiedział nam, gdzie była prawdziwa Polska. To stanowiło problem. We wspólnocie w ten sposób stworzonej bardzo źle się czułem. Wolę być we wspólnocie z ludźmi z „Solidarności Walczącej”. III RP również była oparta na władzy, na przemocy symbolicznej, na marginalizacji i wykluczeniu. Ona wykluczała jednych, ale włączała innych, którzy – moim zdaniem – w demokratycznej, pluralistycznej i opartej na prawie wspólnocie powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności.

Maciej Janowski

Czy rzeczywiście pamięć jest przedmiotem władzy? Marcin Król i Zdzisław Krasnodębski, przy wszystkich dzielących ich różnicach, w tej kwestii są zgodni. Ja jednak nie byłbym tego pewny. Państwo nie jest tworem mającym swoje istotowe cechy. To my nadajemy państwu formę. Pytanie, czy chcemy, aby państwo prowadziło politykę historyczną, jest źle postawione. Państwo zawsze ją prowadzi. Jednak to my określamy zakres tego zaangażowania. Pamiętam z dawnych lat, jak uczono, że nie jest prawdą twierdzenie powtarzane na Zachodzie, iż państwa burżuazyjne są neutralne klasowo. Państwo zawsze pozostaje instytucją przemocy klasowej. Można by zgodzić się z taką opinią, jednak pod warunkiem, że będziemy pamiętali o różnicach między Stanami Zjednoczonymi a stalinowskim Związkiem Radzieckim. Podobnie jest w przypadku polityki historycznej. Można po-

wiedzieć, że z przemocą symboliczną mamy do czynienia na każdej uczelni. Tylko pozostaje pytanie: czy uważamy, że należy tę przemoc zmniejszać i pozostawiać jak największą wolność w interpretowaniu historii, czy też mamy przeciwny pogląd.

Nie mogę zgodzić się z opinią Dariusza Gawina na temat różnic między historią Polski i Czech. Moim zdaniem, przy wszystkich różnicach, można mówić również o strukturalnych podobieństwach, ale to temat na dłuższą rozmowę. Nie rozumiem też, w czym nasza historia miałaby być bogatsza od czeskiej? Nie dostrzegam w polskiej historii wydarzeń pozwalających na takie stwierdzenie. Ironizowałem na temat mówienia o przeszłości w Europie Środkowej i Wschodniej, ale wiele w tym było autoironii. Sam czuję się pełnoprawnym mieszkańcem tego regionu, ze wszelkimi tego konsekwencjami.

Mówiono o tym, jak poważnie podchodzą do swej przeszłości Anglicy i Amerykanie. Chciałbym jednak przypomnieć o tradycji prześmiewczej w Wielkiej Brytanii. Jest ona bez porównania silniejsza niż w krajach naszego regionu. Wystarczy wspomnieć o skeczach Monty'ego Pythona, będących – ośmielę się powiedzieć – świadectwem dojrzałości zbiorowej. A czy za tym, co mówiłem, nie kryje się hierarchizacja różnych przeszłości? Oczywiście, że tak. Można chyba otwarcie wypowiedzieć ten banal, że małe czy średniej wielkości narody, o kulturach receptywnych, nic specjalnego nie wniosły do wspólnych dziejów. Nie powinny porównywać się z Anglią czy ze Stanami Zjednoczonymi.

Marek A. Cichocki

W polskiej dyskusji o relacjach między pamięcią a władzą państwową porzmiewają nasze dziewiętnastowieczne i PRL-owskie doświadczenia. Jednak dla mnie ten problem nie istnieje. Żyjemy w demokratycznym państwie parlamentarnym, gdzie toczy się swobodna debata publiczna. Z całym szacunkiem dla osobistych doświadczeń ludzi ode mnie starszych, pamiętających lata czterdzieste i pięćdziesiąte, nie rozumiem zestawiania

doświadczeń tamtych czasów z obecną sytuacją. Nie widzę realnych zagrożeń, które mogłyby płynąć z publicznego debatowania o pamięci, a nawet z prowadzenia polityki historycznej. Widzę natomiast wiele korzyści.

Nie podoba mi się też termin „manipulacja”, używany przez Marcina Króla. Nie mam poczucia, abyśmy w dzisiejszej Polsce mieli do czynienia z manipulacją. Jeżeli już, to z głupimi, nieodpowiedzialnymi wypowiedziami niektórych polityków.

Dlaczego mam problem z pojednaniem? Ponieważ obiecuje neutralizację jednego cierpienia, aplikując kolejne. W tej propozycji próbuje się zastąpić podmiotowy dialog na temat pamięci w ramach demokratycznego, deliberującego społeczeństwa – psychoterapią. Mówi się np. o „rozładowaniu traumatycznych przeżyć”. Chcę, abyśmy podmiotowo dyskutowali o pamięci, a nie tylko rozładowywali przeżycia. Oczywiście, są osoby, które potrafią wybaczyć, ale dlaczego mam rezygnować z konstytutywnej dla mojej tożsamości pamięci o wydarzeniach z przeszłości? Jak pamiętam, list biskupów mówił o przebaczeniu, a nie o zapominaniu i pojednaniu. Możemy sobie nawzajem wybaczać krzywdy, ale dlaczego mamy zapominać?

Dla mnie chwilą, kiedy skompromitowała się cała retoryka pojednania z lat dziewięćdziesiątych, były obchody pięćdziesiątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. Wówczas na kombatantów z Westerplatte wywierano niebывałą presję. Polskie media w sposób bezczelny i bezwzględny domagały się, aby osoby w podeszłym wieku powiedziały: „przebaczamy”. Jakim prawem można było tego żądać? Po co urządzono spektakl pod tytułem „pojednania polsko-niemieckie”? Nie mam nic przeciwko wybaczeniu win. Nie można jednak w imię psychoterapeutycznych wizji zawieszać racjonalnego, podmiotowego dyskursu – i jednocześnie zmuszać ludzi, by wyrzekli się pamięci będącej częścią ich tożsamości.

Nie jestem także zwolennikiem przeciwstawiania dwóch typów wolności. Uważam, że wolność indywidualna powinna się doskonale mieścić w wolności ogólnej czy wolności zbiorowej. Dobrym przykładem jest właśnie pamięć. Gdybyśmy przyjęli założenie, że pamięć może się realizować

tylko i wyłącznie w ramach wolności indywidualnej, oznaczałoby to brak możliwości rozpatrywania ludzkich postaw w świetle określonych wartości uniwersalnych. Mielibyśmy do czynienia jedynie z postawami zamkniętymi w kapsule indywidualnych doświadczeń, postawami, które byłyby nieprzekazywalne innym pokoleniom. Według mnie pamięć realizuje się w wolności indywidualnej, ale też w ramach wolności zbiorowej. Któredy zatem przebiegają granice interwencji władzy w sferę pamięci (o co pytał Dariusz Stola)? Dla mnie tą granicą są: kłamstwo i użycie przemocy państwowej do wykluczenia innych z dyskursu o pamięci. To granica, której w żadnym wypadku nie wolno przekroczyć. Zawsze zdarzają się blamaże, także w polityce pamięci. Taka jest cena debaty publicznej. Powinniśmy pilnować się, aby do nich nie dochodziło, i korygować błędy. Nie jest to jednak wystarczający powód, aby w ogóle rezygnować z prowadzenia takiej polityki.

Podobnie jak Zbigniew Bujak, uważam za potrzebne odbudowywanie centrów starych miast. Jednak mam kłopot z pomnikiem upamiętniającym Bismarcka. Przypomina mi się opowieść o plemieniu afrykańskim i znalezionej przez nie butelce coca-coli, która wypadła z przelatującego samolotu. Tubylcy nie wiedzieli oczywiście, co to za przedmiot i do czego służy, jednak ta butelka była na tyle fascynująca, że zbudowano wokół niej całą lokalną religię. Nie chcę trywializować całego problemu. Nie jestem przeciwny zachowaniu substancji innej kultury na terenach, które obecnie są częścią państwa polskiego. Chciałbym jednak, abyśmy robili to w sposób podmiotowy i rozumieli, co rekonstruujemy oraz w jakim kontekście. Takie podejście sprawi, że zachowamy pełną świadomość tego, jakie są korzenie nazwy Hala Stulecia i kim był dla Polaków Bismarck.

Adam Pomorski postawił pytanie o aktualność programu Jerzego Giedroycia. Sądzę, że gdyby redaktor „Kultury” paryskiej jeszcze żył, dobrze rozumiałby potrzebę prowadzenia polityki historycznej. Polityka pamięci realizowana przez Rosję Władimira Putina jest faktem o politycznym znaczeniu i trzeba to dostrzegać. Zanim Jerzy Giedroyc założył „Kulturę”, był twórcą „Polityki” i pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych II RP. Powołał na

emigracji pismo, kiedy nie mógł już robić prawdziwej polityki. To była konsekwencja nowej sytuacji. Dzisiaj nie musimy już budować „Kultury”. Możemy robić to, czego pozbawiono nas wraz z końcem II Rzeczypospolitej.

Padło też pytanie o wspólny podręcznik historii Europy. Nie chcę podpisywać się pod niemądrymi opiniami Romana Giertycha, ale mam wątpliwości co do tego pomysłu. Warto zajrzeć do wspólnego francusko-niemieckiego podręcznika historii XX wieku. Przyjęto przy jego tworzeniu najmniejszy wspólny mianownik. Czy chcemy, by tak wyglądała wspólna europejska pamięć? Uważam, że lepiej się stanie, jeżeli między nami pozostaną różnice i będziemy podmiotowo dyskutowali na ich temat.

Ostatnia kwestia: anglosaska polemika z ideą państwa narodowego. Należy dostrzec jej kontekst. Anglosasi nie mają za sobą doświadczenia kontynentalnego państwa nowożytnego. To nie jest krytyka suwerenności państw narodowych jako takich, lecz konkretnego modelu. Oni uważają, że ten model państwa już się wyczerpał, z czym mogę się zgodzić, jednak nie twierdzą, że skończyła się polityka w obrębie państwowych wspólnot politycznych.

Aleksander Smolar

Władza i geografia pamięci

Polityka i przeszłość

Domeną działania polityków jest teraźniejszość, celem: zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa, nadanie pożądanego kształtu przyszłości. Przeszłość interesuje polityków o tyle, o ile modyfikacja czy utrwalanie jej istniejącego obrazu we własnym społeczeństwie i wśród obcych poszerzają możliwości działania polityków. Przeszłość jest więc jednym z narzędzi, którymi politycy posługują się, aby realizować właściwe im cele.

Pojęcie „polityka historyczna” zostało zapożyczone z Niemiec przez ludzi prawicy, którzy, paradoksalnie, widzieli w tym kraju w ostatnich latach jedno z poważnych zagrożeń dla Polski – jeżeli nie dla jej integralności terytorialnej, to dla tożsamości, siły, miejsca w Europie. W Niemczech polityka historyczna była narzędziem walki z mentalnymi pozostałościami nazizmu, z radykalnym nacjonalizmem; służyła popularyzowaniu takich wartości, jak indywidualizm, tolerancja, otwartość na innych, krytyczny stosunek do narodowego dziedzictwa, wartość Europy jako wspólnego dobra integrujących się narodów. Innymi słowy, była narzędziem kształtowania postaw demokratycznych w kraju, gdzie zachodnie państwa okupacyjne odgórnie wprowadzały demokrację.

Promotorzy polityki historycznej w Polsce widzą jej cele w umacnianiu wspólnoty narodowej, budzeniu dumy z dokonań przeszłych pokoleń, two-

rzeniu podstaw potęgi międzynarodowej. W trakcie kampanii wyborczej 2005 roku Donald Tusk oraz Lech Kaczyński nie przypadkiem dawali się filmować na tle obrazów Jana Matejki. Jednemu heroicznym i patriotycznym cech dodawał *Batory pod Pskowem*, drugiemu zaś pomagała w tym *Bitwa pod Grunwaldem*. Polityka historyczna w Niemczech była odpowiedzią na zbrodnie, na moralną i intelektualną degradację spowodowaną przez nazizm. Polityka historyczna w Polsce ostatnich lat stała się odpowiedzią na pragmatyzm i indywidualizm, promowane przez mechanizmy politycznej i gospodarczej transformacji. Była też odpowiedzią na szok odkrycia zbrodni w Jedwabnem – czyli na zakwestionowanie mitu Polski wiecznie sprawiedliwej, heroicznej i cierpiącej. Stanowiła wreszcie odpowiedź na wersje historii najnowszej płynące z Rosji Putina i z Republiki Federalnej, w których widziano zagrożenie dla moralnej pozycji Polski i dla jej interesów.

Polityka i prawda

Zagrożenie, jakie stwarza polityka dla naszej samowiedzy – pisała Hannah Arendt – wyrasta z tego, że prawda faktów jest bardzo krucha. Zapomnienie i manipulacja są dla niej poważnym zagrożeniem. Możliwość poznania przeszłości zależy od pamięci, dokumentów, świadectwa ludzi. Nie mają takich problemów prawda religii, prawda filozofii czy prawda wzorów matematycznych i formuł logicznych.

Często w tym kontekście przywoływany przykład gen. Charles'a de Gaulle'a pokazuje, jak wielki człowiek, nie mogąc zaakceptować upadku swojego kraju, wyrzucił tzw. Państwo Francuskie marszałka Philippe'a Pétaina z historii Francji. Znany jest powojenny epizod, gdy Georges Bidault wezwał de Gaulle'a, by ten publicznie przywrócił do istnienia Republikę Francuską. Generał odpowiedział na to, wbrew faktom, że *la République* nigdy nie przestała istnieć. De Gaulle potrafił na parę dziesiątków lat narzucić swoim rodakom wizję kraju zjednoczonego w opozycji przeciwko Niemcom Hitlera, umiał wymazać z pamięci hańbę rządów z Vichy.

Politycy, ale nie tylko oni, wykazują skłonność do ubarwiania własnych dokonań. Gdy mają wielkie ambicje, starają się pozostawić ślad, odcisnąć piętno na historii, próbują wyolbrzymić własne sukcesy. Winston Churchill pisał żartobliwie: „Historia będzie dla mnie łaskawa. Zamierzam bowiem sam ją napisać”. Istotnie, wpłynął on poważnie na sposób pisania o drugiej wojnie światowej, a wiele sugestywnych, naszkicowanych przez niego obrazów tego czasu jest teraz stawianych przez historyków pod znakiem zapytania.

Skrajnego przykładu polityki historycznej, manipulowania przeszłością, dostarczała oczywiście władza totalitarna. Mimo istotnych różnic między narodowym socjalizmem, faszyzmem i komunizmem, „łączyło je dążenie, by kierować, kontrolować historię” – pisał Fritz Stern¹. Nie tylko tę przyszłą, ale również przeszłą, gdyż – zgodnie ze znakomitą formułą George’a Orwella – „kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość; ten, kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość”.

Primo Levi zwracał uwagę, iż mordercy zdawali sobie sprawę, że świat nie będzie chciał uwierzyć w ogrom popełnionych przez Niemców zbrodni, bo nie będzie świadków tragedii. Podkreślał, że wielu świadków, w tym m.in. Szymon Wiesenthal (na ostatnich stronach swojej książki *Mordercy są wśród nas*), pisało o ludziach SS, którzy znajdowali przyjemność w ostrzeganiu więźniów: „Jakkolwiek by ta wojna się nie skończyła, my z wami już wygraliśmy; nikt z was nie pozostanie, by nieść świadectwo, ale nawet jeżeli by niektórzy przeżyli, świat im nie uwierzy. Być może będą podejrzenia, dyskusje, badania prowadzone przez historyków, ale nie będzie pewności, ponieważ niszcząc was, usuniemy dowody. I nawet jeżeli parę dowodów jednak pozostanie, to ludzie powiedzą, że fakty, które opowiadacie, są zbyt monstrialne, aby mogły być wiarygodne: będą mówili o przesadzie propagandy aliantów i będą wierzyli nam, którzy wszystkiemu zaprzeczymy, a nie wam. To my będziemy dyktowali historię obozów”².

¹ Fritz Stern, *A Century of Building Blocks for the New Europe*, „International Herald Tribune”, 08.07.1998.

² Primo Levi, *Les naufragés et les rescapés. Quarante ans après Auschwitz*, Paris 1989, s. 11–12 (oryginał włoski z 1986 roku).

Jan Tomasz Gross z tej asymetrii świadectw, którymi dysponujemy, wyprowadził w *Sąsiadach* metodologiczny postulat zmiany podejścia do źródeł historycznych dotyczących wojennego losu Żydów: „Nasza postawa wyjściowa do każdego przekazu pochodzącego od niedoszłych ofiar Holocaustu powinna się zmienić z wątpiącej na afirmującą”³, dlatego że „prawda o zagładzie społeczności żydowskiej może być tylko tragiczniejsza niż nasze o niej wyobrażenia na podstawie relacji tych, którzy przeżyli”⁴. Teza ta jest radykalna i kwestionowana, ale jeżeli stoimy wobec problemu systematycznego wymazywania świadectwa ofiar, to czy epistemologiczne uprzywilejowanie świadectw tych nielicznych, którzy zdolali przeżyć, nie jest uzasadnione?

Manipulowanie obrazem przeszłości przez polityków i różnej maści ideologów jest naszym codziennym doświadczeniem. Władimir Putin wykorzystał 60. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej dla popularyzowania obrazu wielkiej, niezwykłej Rosji. Użył przeszłości, aby uprawomocnić przyszłą potęgę i mocarstwową rolę swego państwa w świecie. Z tego obrazu została usunięta tragedia dziesiątków milionów ofiar komunizmu w samym ZSRR i poza jego granicami. W wizji Putina nie było miejsca dla uznania ofiar zbrodni katyńskiej.

Sięgnijmy po przykłady z naszego podwórka. Zwycięzcy piszą historię, ale tylko do pewnego momentu. Współczesne Niemcy nie są krajem przegranym, lecz przeciwnie, pod wieloma względami mogą pochwalić się poważnymi sukcesami: w ustanawianiu demokracji, w rozwoju gospodarczym, a także w roli, jaką kraj ten odgrywa w Europie i w świecie. Proces odzyskiwania przez Niemcy pełnej suwerenności, którego ostatni rozdział zaczął się wraz z upadkiem muru berlińskiego i zniknięciem NRD, musiał nieuchronnie objąć również spojrzenie na własną przeszłość. Potrzeba dużo złej woli, aby oskarżać Niemców o chęć zrzucenia na innych odpowiedzialności za zbrodnie drugiej wojny światowej. Amerykański dziennikarz Nicholas Kulish, pisząc o pamięci Niemiec, zaczyna artykuł od słów: „Większość krajów obchodzi rocznice tego, co najlepsze

³ Jan Tomasz Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Sejny 2000, s. 94.

⁴ Tamże, s. 95.

w ich przeszłości. Niemcy bez wytchnienia zajmują się tym, co najgorsze”⁵. Wtóruje mu dyplomata izraelski Avi Primor, komentując zapowiedź budowy w centrum Berlina pomników upamiętniających zagładę Cyganów oraz zabójstwa dokonywane na homoseksualistach w III Rzeszy: „Gdzie i kiedy widziano w świecie naród, który wznosi pomniki dla upamiętnienia własnej hańby”⁶.

Jest jednak prawdą, że Niemcy zaczęli otwarcie mówić również o tragediach swojego narodu w czasie drugiej wojny światowej i po niej, w tym – o losie ludności cywilnej masowo uciekającej, ale i wypędzanej ze swych rodzinnych stron. W pewnych środowiskach w naszym kraju dostrzeżono w tym niebezpieczeństwo dla polskich interesów i ogólnie dla obrazu Polski w świecie. Walka z Eriką Steinbach, przewodniczącą Związku Wypędzonych, która do tego czasu nie była szczególnie w Niemczech ani w Europie znana, stała się na parę lat jedną z cech definiujących polską politykę zagraniczną. Niezależnie od zasadności obaw co do ewolucji obrazu ostatniego wieku w Niemczech, walka z Centrum przeciwko Wypędzonym w Berlinie, zgłaszanie alternatywnych projektów uczczenia losu ofiar czystek etnicznych w Europie, aż po propozycję zbudowania Muzeum Drugiej Wojny Światowej w Gdańsku, którą do Berlina zawiózł Donald Tusk – to wszystko ma w istocie na celu niedopuszczenie do postrzeganej ewolucji niemieckiej pamięci i do jej dominacji w Europie. Działania te są wyrazem obaw, że Polsce zagraża taki obraz drugiej wojny światowej i jej następstw, w którym będą obecne Holocaust jako zło ostateczne i wypędzenia jako zło powszechne wieku XX, gdzie w centrum pamięci zostaną umieszczone żydowskie i niemieckie ofiary totalitaryzmu oraz wojny, a zarazem na dalszy plan zostaną odsunięte zbrodnie dokonane na innych narodach, w tym na Polakach.

Skrajną wizję owych zagrożeń, zresztą nie po raz pierwszy, przedstawił Jarosław Kaczyński: „Nam grozi sytuacja, w której za kilka dziesięcioleci, a może nawet mniej, druga wojna światowa to będą dwie wielkie zbrodnie: Holocaust, w którym brali rzekomo udział Polacy, tudzież wysiedlenia Niem-

⁵ Nicholas Kulish, *A Crisis of Remembrance. Germans Grapple with Remembrance as Living Memory Fades*, „International Herald Tribune”, 29.01.2008.

⁶ Cytat za „The Time”, 11.02.2008.

ców, w ogóle dzieło Polaków”⁷. Podobną obawą kierowały się władze RP, gdy zwróciły się przed paru laty do UNESCO z postulatem, aby nazwa „obóz koncentracyjny Auschwitz” została zastąpiona przez „były nazistowsko-niemiecki obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau”. Intencja była zrozumiała, ale i naiwna. Biurokratycznym zabiegiem próbowano zabezpieczyć trwały status prawdy o tragedii sprzed ponad 60 lat. Inicjatywa ta wynikała z przekonania, że prawda o przeszłości jest krucha i może ulegać zapomnieniu, nie mówiąc o świadomej manipulacji. Pojawiający się tu i ówdzie w prasie światowej zwrot „polskie obozy koncentracyjne” dla nazwania obozów, które przez okupanta zostały usytuowane na ziemi polskiej – skutek ignorancji, złej woli, postępowania się nazwą geograficzną dla określenia zbrodni – zdawał się uzasadniać niepokój.

Jednak – mając w pamięci przytoczone słowa Jarosława Kaczyńskiego oraz wspomnianą inicjatywę rządu polskiego – warto przypomnieć zdanie przypisywane Georges’owi Clemenceau. Na pytanie: „jak będzie przedstawiana w przyszłości pierwsza wojna światowa?” ponoć odpowiedział, że tego nie wie. Ale wie na pewno, iż żaden historyk nie napisze, że to Belgia napadła na Niemcy. Podobnie żaden historyk nie napisze, że Polska w 1939 roku napadła na Niemcy i Rosję, ani nie stwierdzi, iż Auschwitz zbudowali Polacy.

W demokratycznym świecie pluralistycznej informacji nie można narzucać siłą ani prawdy, ani też kłamstwa. Nie pomogą oficjalnie dekretywane zmiany nazw, nie pomogą groźby karania za taki czy inny rodzaj kłamstwa, nawet jeżeli widzi się w nim próbę, choćby symboliczną, ponownego dokonania mordu. To, co nie może się zdarzyć w krajach demokratycznych, staje się prawdziwym zagrożeniem w świecie dyktatury, tam, gdzie istnieje realne niebezpieczeństwo monopolizacji informacji i interpretacji przeszłych wydarzeń. Stąd waga prawdy o faktach, rola pluralizmu i demokracji również jako mechanizmów poznawczych. Raz jeszcze powołam się na Hannah Arendt – „Fakty, prawda faktów, służą ochronie przed tyranią, tak samo jak konstytucja i karta praw”. Milan Kundera pisał o walce człowieka z władzą jako o walce pamięci z zapomnieniem.

⁷ Cytat za „Gazetą Wyborczą”, 09–10.02.2008.

Polityka historyczna

Polityka historyczna jest w istocie wyrazem woli świadomego oddziaływania przez czynniki polityczne na pamięć i tożsamość zbiorową. Na poziomie podstawowym pamięć zbiorowa to zdolność powiedzenia „my”, odpowiedzi na pytania: „Kim jesteśmy?”, „Skąd przychodzimy?”.

Debata w Polsce wokół problemu polityki historycznej, a także emocje, jakie za sobą pociągnęła, na pierwszy rzut oka zaskakują. Można bowiem dość łatwo dojść do porozumienia co do obszaru i prawomocności świadomej polityki państwa, jeżeli chodzi o obecność przeszłości w dzisiejszym świecie. Jej przedmiotem winno być ustanawianie świąt państwowych, rytuałów i obrzędów patriotycznych, określanie miejsc pamięci narodowej, budowanie muzeów, nadawanie odznaczeń, nazywanie ulic oraz szkół, subwencjonowanie dzieł ważnych dla pamięci i świadomości narodowej, wmurowywanie tablic pamiątkowych czy wznoszenie pomników dla uczczenia wydarzeń i ludzi godnych narodowej pamięci, ustalanie szkolnych programów nauczania oraz zatwierdzanie podręczników, a także organizowanie imprez naukowych i popularnych, które przywołują i odkurzają wydarzenia oraz postaci z przeszłości.

Jeżeli polityka historyczna wywołała żywe emocje, to nie ze względu na rolę przypisywaną państwu, lecz dlatego, że środowiska, które zaczęły ją popularyzować, oraz bliskie im siły polityczne uczyniły z polityki historycznej narzędzie „moralnego wzmożenia”, „rewolucji moralnej”, popularyzując w istocie radykalną zmianę narracji o przeszłości pojętej jako zasadniczy element zamierzonej rekonstrukcji społecznej i politycznej. Symbolem tej zmiany – niezależnie od intelektualnych subtelności teoretyków od polityki historycznej – była transformacja Instytutu Pamięci Narodowej w ekspozyturę ciasnego nacjonalizmu. Wolor symbolu miało tu zastąpienie Leona Kieresa przez Janusza Kurtykę i Pawła Machcewicza przez Jana Żaryna.

Oczywiście, w samym pojęciu polityki historycznej nie musi być nic niepokojącego. Chociaż niezbyt szczęśliwe jest zestawienie historii – która jako dziedzina refleksji naukowej powinna być poddana metodologicznej dyscyplinie i kierować się wolą obiektywizmu oraz poznania prawdy, bez

szukania poręcznych, dydaktycznych konkluzji – z polityką, która ze swej natury przekształca w środki to wszystko, co tylko może zinstrumentalizować. Ta sprzeczność nie jest niewinna, ale da się wyodrębnić szereg modeli polityki historycznej, którą państwo może prowadzić.

Polityka podboju. Jest to próba narzucenia społeczeństwu przez siły rządzące własnej wizji historii, patriotyzmu, stosunku do państwa oraz naczelnych wartości, którym wspólnota narodowa ma służyć. Realizacja tego celu ma szanse powodzenia tylko w warunkach dyktatury, a nie w nowoczesnym, otwartym społeczeństwie. Chociaż było wiele sygnałów niepokojących, to w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości byliśmy bardzo daleko od realizacji tego modelu. Choćby dlatego, że środki masowego przekazu pozostały pluralistyczne i tylko media publiczne były kontrolowane przez partię rządzącą.

Polityka zimnej wojny domowej. Kierują nią podobne przekonania i pragnienie narzucenia społeczeństwu jednej wizji przeszłości, jednak ze świadomością ograniczonych możliwości władzy. Rezygnacji z frontalnego ataku towarzyszą więc: utrzymywanie permanentnych napięć, dążenie do podbijania nowych terytoriów informacji i szeroko pojętej edukacji, okopywanie się, podporządkowywanie wszystkiego własnej logice. Jest to model znacznie bliższy polityce PiS-u od poprzedniego.

Polityka trwałego zróżnicowania i pokojowego współżycia. Polega ona na uznaniu wielości współżyjących wizji patriotyzmu oraz różnych interpretacji faktów historycznych, w imię wyższych wartości: pokoju społecznego, szacunku dla inaczej myślących i trwałego współżycia różnych orientacji. Spójności wielobarwnego społeczeństwa szuka się nie we wspólnej pamięci, dominującej religii czy w podzielanych mitach, lecz w akceptowanych regułach życia zbiorowego, w poczuciu przynależności do tej samej politycznej wspólnoty równoprawnych obywateli.

W polskich warunkach tak zarysowany model wielu pamięci jest mało realistyczny. Oczywiście, mogą i muszą nieuchronnie występować różnice między pokoleniami, regionami, grupami etnicznymi i wyznawcami różnych religii w ich opisywaniu historii. Jednak co do wartości i faktów

podstawowych różnice takie występują tylko w momentach dramatycznych kryzysów. Na przykład ocena czasów PRL-u jest inna w grupach, które wówczas skorzystały najbardziej (nie chodzi tu tylko o ludzi władzy, ale także o szerokie grupy społeczne, które pamiętają swoiste bezpieczeństwo, równość i awans pierwszych dziesięcioleci Polski Ludowej), inna zaś wśród osób, które najbardziej skorzystały na warunkach pełnej suwerenności i demokracji po 1989 roku. Można jednak sądzić, że wraz z upływem czasu następuje i będzie następować zbliżanie, integracja tych pamięci. Choć warto pamiętać, że gen. Wojciech Jaruzelski cieszy się do dziś szeroką popularnością. Podobnie duża część Polaków wciąż aprobuje decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. Intensywna polityka historyczna w czasie rządów braci Kaczyńskich nie wpłynęła w istotny sposób na zmianę rozkładu opinii w społeczeństwie.

Polityka ograniczonego demokratycznego *consensusu*. Można też mówić o asymetrycznej integracji w tym sensie, iż tu nie zakłada się, że wszyscy mają rację i że prawda jest podzielona. Jednak są pewne oczywiste fakty i wartości, takie jak wolność, niepodległość, demokracja, prawa człowieka, państwo prawa. Z tego wynika wiara w zbliżenie, w postępującą integrację społeczeństwa wokół podstawowych wartości i wspólnej narracji, przy równoczesnym uznaniu daleko posuniętego zróżnicowania, wynikającego z odmiennych biografii, położenia społecznego, wiary, pochodzenia etnicznego czy przekonań ideowych. Nie taję, że jest to najbliższy mi model.

Ograniczmy się do jednego przykładu. Przez ostatnich 18 lat było widać wyraźnie przejmowanie przez środowiska wywodzące się z PZPR-u opisu historii właściwego dla obozu demokratycznego. Częściowo wynika to ze względów pokoleniowych. Wojciech Olejniczak czy Grzegorz Napieralski nie mają już osobiście nic wspólnego z rządami PRL-u. Bardzo symptomatyczna jednak była ewolucja Aleksandra Kwaśniewskiego. Gdy obejmował prezydenturę, w wywiadzie dla „The New York Times” podawał za swoje wzory: Władysława Gomułkę, Edwarda Gierka i Wojciecha Jaruzelskiego, dodając dla okraszy Józefa Piłsudskiego. Jego wizja historii Polski była wówczas radykalnie odmienna od tej podzielanej przez Polaków, którzy utożsamiali się

z „Solidarnością”. Wraz z upływem czasu coraz częściej mówił on tak, jakby był reprezentantem Polski opozycyjnej, a nie tej, która wywodziła się z PZPR-u. Świadomie utożsamiał się z tradycją niepodległościową i demokratyczną.

Podsumowując owe cztery modele polityki historycznej, powiedzieć można, że w latach 1989–2005 dominował model czwarty. Natomiast wraz ze zwycięstwem Prawa i Sprawiedliwości oraz powstaniem rządu PiS-u, Samoobrony i LPR-u, polityka historyczna ewoluowała szybko ku modelowi drugiemu, w kierunku „polityki zimnej wojny domowej”, z elementami silnej obecności w publicznych środkach przekazu „polityki podboju”.

Symbolem polityki historycznej IV RP może być wprowadzony do kodeksu karnego z woli koalicji PiS-u, Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin artykuł 132a: „Kto publicznie pomawia Naród Polski o udział, organizowanie lub odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne lub nazistowskie, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Ówczesny marszałek Sejmu, Ludwik Dorn, tak uzasadnił konieczność tego uregulowania: „Ze względu na ustrojową pozycję Narodu, zachodzi bezwzględna konieczność ochrony Jego autorytetu, poprzez penalizowanie zachowań, mogących ten autorytet osłabić, a takim zachowaniem jest niewątpliwie świadome, bo podejmowane w zamiarze bezpośrednim, publiczne pomawianie o jednoznacznie negatywnie oceniane czyny”. Celem nie jest tu prawda, lecz Autorytet Narodu⁸.

Dwie opowieści o Polsce

Muzeum Powstania Warszawskiego jest podawane często za wzór nowoczesnej polityki historycznej. Liczni krytycy wytykają jednak nieobecność w nim dramatycznego pytania o sens powstania, tak silnie obecnego w wielu ważnych powojennych debatach w kraju i na emigracji. Przedstawienie heroizmu powstańców nie znajduje w muzeum tragicznego uzupełnienia w postaci refleksji nad sensem powstańczej tradycji czy nad odpowiedzial-

⁸ Cytat za blogiem Wojciecha Sadurskiego: <http://wojciechsadurski.salon24.pl/29768,index.html>.

nością przywódców. Nieobecność ta jest tym bardziej dotkliwa, że pokojowa rewolucja „Solidarności” – jeden z centralnych punktów polityki historycznej – wyrastała m.in. z odrzucenia romantycznej tradycji insurekcyjnej, której powstanie warszawskie było ostatnim tragicznym wcieleniem.

Najważniejszym jednak wymiarem polityki historycznej ostatnich lat, zwłaszcza w okresie rządów PiS-u, była popularyzowana opowieść o Polsce po 1989 roku. Do początku obecnej dekady dominowała narracja, w której podstawową rolę odgrywały: apoteoza „okrągłego stołu”, odzyskanie pełnej suwerenności, demokracja, transformacja, rozwój, NATO, Unia Europejska. W jakimś sensie był to opis zasadniczo apolityczny, bezkonfliktowy i optymistyczny. Istniały też inne wizje tego czasu, ale odgrywały one rolę marginalną. W tych alternatywnych opisach obecne były wątki, które zaczęły dominować około 2003 roku. Rzadko kwestionując zasadnicze osiągnięcia lat 90. (najwyżej, jak Jarosław Kaczyński w przedwyborczej debacie z Aleksandrem Kwaśniewskim, uznając te osiągnięcia za oczywiste i nieuchronne, czego miał dowodzić rozwój w innych krajach regionu), na plan pierwszy wysuwano dramatycznie opisywany wpływ elit postkomunistycznych, ich symbiozę z tajnymi służbami, mafią i częścią elit postsolidarnościowych, które miały być w przeszłości powiązane z PRL-em. Opisywano wątplą polską demokrację jako „fasadową”, zdominowaną przez oligarchię, oplecioną mackami wszechobecnymi i wszechpotężnymi „układów”. Wreszcie, taka prezentacja przeszłości była uzupełniana przez PiS o krytykę społeczną, podejmującą problem krzywd czasu transformacji, który to czas, uprzywilejowując owe elity, marginalizował znaczne grupy społeczne. Tę Polskę po 1989 roku nazywano „Rywinlandem”, „PRL-bis”, „potworem”, „postkomunistycznym monstrem”, „ubekistanem”...

Siłą narracji o III i IV RP nie był realizm opisu; jej siłą nie była też wizja przyszłości, bardzo w istocie uboga; lecz protest i wściekłość, owo „ugryzienie żubra w dupę”, w języku poety z Milanówka, który w ten sposób ujął metaforycznie dokonania Jarosława Kaczyńskiego, polegające na zmuszeniu do cwału owego gnuśnego zwierza, czyli Polskę. Ale po co? Dokąd? Czy rzeczywiście Polskę okresu po roku 1989, dokonującą radykalnych zmian

w wielu podstawowych dziedzinach, bardzo dla społeczeństwa bolesnych, można porównywać do rozleniwionego żubra? Tego nie dowiedzieliśmy się ani od autora – ale poeta nie musi – ani np. od trzech zachwyconych metaforą intelektualistów prawicy, Marka A. Cichockiego, Dariusza Gawina i Dariusza Karłowicza, którzy podjęli temat w swoim programie telewizyjnym. Ludwik Dorn w owej metaforze Jarosława Marka Rymkiewicza widział parafrazę znanych słów Arnolda Toynbeeego: „*the history is on the move again*” – historia znowu jest w ruchu. Dorn komentował z całą powagą, że po „okresie pewnego zastoju lat 90.” dzięki rządowi Prawa i Sprawiedliwości „historia ruszyła i toczy się nadal”⁹. Nazywanie przemian po 1989 roku okresem zastoju, choćby nawet z dodaniem słowa „pewien”, jest miarą realizmu opisu polskiej rzeczywistości przez ludzi zaczadzonych ideologią IV RP.

Zwolennicy IV RP nie rozumują w kategoriach historycznych ani w ramach realnych wyborów politycznych, zakreślonych przez ograniczenia czasu, wiedzy, umiejętności, posiadanych środków. Odpowiedzi szukają w teologii komunistycznego zła i w demonologii „wszechspisku”. Trudno znaleźć wśród rzeczników polityki historycznej i wyznawców IV RP informacje o dokonaniach w innych krajach postsowieckich, co pozwoliłoby zobaczyć, na ile rzeczywiście mieliśmy w Polsce do czynienia z grzesznym, kryminalnym wręcz zaniechaniem, na ile zaś być może z konsekwencją trudnych wyborów, z problemami wymagającymi długiego czasu do ich rozwiązania.

Trudno też u nich znaleźć refleksję, analizę, a choćby i informację o innych możliwych, poza dziedzictwem komunizmu, źródłach naszych rozlicznych słabości. Piotr Sztompka opisywał lata po 1989 roku jako czas czterech wielkich procesów, z których każdy niesie ze sobą dla całych społeczeństw i dla każdego obywatela z osobna ogromną traumę. Poza transformacją miał on na myśli modernizację, globalizację i integrację europejską. Narody naszego regionu zostały równocześnie poddane niestychanej presji tych procesów, oznaczających nieustanną zmianę. Tak wyglądał ów leniwy żubr, zanim został ugryziony przez Jarosława Kaczyńskiego.

⁹ *PiS zmusiło historię do galopu* [z Ludwikiem Dornem rozmawia Cezary Michalski], „Europa” [dodatek do „Dziennik. Polska Europa Świat”], 24.11.2007.

Źródeł naszych słabości i patologii należy szukać – jak dowodził historyk i ekonomista Jacek Kochanowicz¹⁰ – nie tylko w dziedzictwie komunizmu, ale również m.in. w zacofaniu gospodarczym. W takich warunkach klasa średnia często pasożytuje na państwie, walcząc o posady, kontrakty i licencje, a marnie opłacani urzędnicy łatwo ulegają pokusie łapówek. Klasa średnia zainteresowana jest rozrostem państwa, bo dzięki temu powstają nowe posady, a mnożenie przepisów stwarza coraz więcej okazji do decyzji dyskrecyjnych i lewych dochodów. Do argumentów Kochanowicza można dodać przepastne w Polsce problemy: słabych tradycji nowoczesnej państwowości, braku szacunku dla prawa, słabości społeczeństwa obywatelskiego... Paradoksalnie, dziedzictwo braku kultury prawnej i państwowej można było widzieć w działaniach rządów PiS-u, które koncentrowały uwagę na polityce represji i wymianie kadr, małą wagę przywiązując do reform instytucji i nie okazując szacunku dla procedur.

Polityka historyczna i kryzys mechanizmów społecznej integracji

Wybitny publicysta amerykański Jim Hoagland pisał o Europie jako kontynencie „skolonizowanym przez swoją przeszłość i pamięć”¹¹, w przeciwieństwie do zwróconych ku przyszłości Stanów Zjednoczonych. Intensywną kolonizację Polski czasów Kaczyńskich przez „przeszłość i pamięć” symbolizowała radykalna polityka historyczna owego czasu. Bogdan Zdrojewski, minister kultury i dziedzictwa narodowego w rządzie Donalda Tuska, wyraził ostatnio niepokój o konsekwencje tej polityki, mówiąc, iż Polska może stać się „krajem muzeów i nekropolii”. Jego poprzednik, Kazimierz M. Ujazdowski – minister w rządach PiS-u – odpowiadał w swoim blogu: „współczesne państwo nie jest spółką akcyjną, prostym związkiem interesów ekonomicznych. Tradycja historyczna jest silnym spoiwem wspólnoty obywatelskiej i państwowej, ma potężne znaczenie edukacyjne

¹⁰ Jacek Kochanowicz, *Fantazmaty IV RP*, „Gazeta Wyborcza”, 03.04.2007.

¹¹ Jim Hoagland, *Coming to Terms with the War: it's Now or Newer*, „International Herald Tribune”, 09.04.1998.

i promocyjne”¹². To prawda, ale ważne jest, czego i jak się uczy, co i jak się promuje. Ważna okazuje się także świadomość, że państwowa dydaktyka historyczna nie jest we współczesnych demokracjach jedynym ani też najważniejszym „spoiwem wspólnoty obywatelskiej i państwowej”. Często stanowi po prostu narzędzie natrętnej propagandy.

Integruje społeczeństwo wspólna przeszłość, wspólna kultura, wspólna dla zdecydowanej większości religia. Integracji sprzyjają również wspólne nadzieje na przyszłość. Najsilniej zapewne scalają na co dzień obecne mechanizmy życia społecznego i politycznego.

Zwrócenie się ku przeszłości jako narzędziu integracji wspólnoty było po części wyrazem poszukiwania sposobów na przezwycięzenie dyslokacji i społecznej anomii – wyniku panowania komunizmu i jego mechanizmów społecznego rozkładu, ale również efektu czasów transformacji, gdy ważne stały się indywidualny wysiłek, ambicje, walka o przetrwanie. Oskarżanie III RP – w języku zwolenników rewolucji Jarosława i Lecha Kaczyńskich – o nihilizm narodowy było pozbawione jakichkolwiek podstaw.

Warto pamiętać o skutkach radykalnych zmian ustrojowych, które same w sobie były potępieniem czasów PRL-u. Bezpośrednio polityki historycznej dotyczyły: zmiany w treści przekazu mass mediów; równie radykalne zmiany w podręcznikach historii; przywrócenie świąt narodowych 3 maja i 11 listopada; obalenie posągów PRL-owskich bohaterów i zmiany nazw ulic; odebranie przywilejów kombatanckich funkcjonariuszom UB i rehabilitacja skazanych w procesach politycznych. Krytycy zapominają chętnie, że bardzo kontrowersyjny Instytut Pamięci Narodowej istnieje już od 2000 roku. Ogromne znaczenie miały również działania podejmowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Nie należy zapominać o tych wszystkich inicjatywach. Prawdą jest jednak, że w latach obecnej dekady historia zaczęła nagle odgrywać znacznie większą rolę. I nie ulega wątpliwości, że obecny Prezydent przywiązuje do przeszłości większą wagę niż jego poprzednicy; podobnie partia, z której się wywodzi, kładzie na historię znacznie większy nacisk niż formacje rządzące przedtem.

¹² Blog Kazimierza Michała Ujazdowskiego: <http://ujazdowski.salon24.pl/59566,index.html>.

Jednak prawdą jest także, że czas po 1989 roku – z natury zmian, które musiały być zaaplikowane po upadku PRL-u, aby stworzyć warunki dla nowoczesnej demokracji i rozwoju – nie budował na poczuciu wspólnoty, lecz na ambicjach i celach indywidualnych. Zamiast kolektywizmu czy zdania się na zbiorowość, liczy się indywidualizm. Ideę bezpieczeństwa oraz stabilności coraz powszechniej zastępuje idea ryzyka, która daje szansę, ale stwarza również zagrożenia. Monopol zastąpiła konkurencja. Nie ma już nakazu wiary w jedną prawdę – jest pluralizm informacji i komentarzy. Trzeba wysiłku, by z tego potoku opinii wybrać tę, którą samemu uzna się za prawdziwą i słuszną. Niski poziom wzajemnego zaufania Polaków pogłębia kryzys mechanizmów społecznej integracji.

Steve Holmes, amerykański filozof, baczny obserwator przemian w naszym regionie, ujął kiedyś w związanej formule problemy krajów wychodzących z komunizmu: „słabe państwa słabo powiązane ze słabymi społeczeństwami obywatelskimi i słabą gospodarką rynkową”¹³. W tej formule ujęte są zarazem przyczyny słabej siły integracyjnej państwa, społeczeństwa obywatelskiego i rynku. Wątki okazują się również mechanizmy integracji wokół akceptowanego prawa i reguł demokracji. We współczesnych społeczeństwach rozwiniętej demokracji Europy Zachodniej podstawową rolę w społecznej integracji odgrywają państwo opiekuńcze i społeczny wymiar obywatelstwa, jaki ono zapewnia. Mechanizmy redystrybucji, które dawały wszystkim szansę na korzystanie z praw politycznych, stwarzały warunki dla równości obywateli. W warunkach współczesnych, gdy państwo dobrobytu przeżywa głęboki kryzys, waga tego czynnika integracji poważnie słabnie. W Polsce, mimo iż redystrybucja odgrywa istotną rolę w podziale dochodu narodowego, załamanie się mechanizmów redystrybucyjnych czasów PRL-u tworzyło poczucie wycofywania się państwa ze swoich podstawowych obowiązków i towarzyszące temu rozległe poczucie krzywdy.

Ralf Dahrendorf pisał kiedyś o współczesnej demokracji jako zimnym projekcie, niemobilizującym uczuć, nietrafiającym do emocji obywateli.

¹³ Steve Holmes, *Cultural Legacies or State Decay: Probing the Postcommunist Dilemma*, w: *Postcommunism: Four Views*, ed. by Michael Mandelbaum, New York 1996, s. 16.

Do tego dołożył się „chłodny” projekt transformacji Polski. Jest to dodatkowa przyczyna zwrócenia się ku przeszłości. Czasy kryzysu wzmagają świadomość zasadniczego znaczenia przeszłości dla dnia dzisiejszego. Sprzyjają one bataliom o serca, myśli i dusze... umarłych. Szukamy w przeszłości „pokrzepienia serc”, a nie „rozdrapywania narodowych ran”. Troska o to, aby owe rany „nie zabiłżyły się błoną podłości”, była zawsze troską wąskich elit, owych „kilkuset” inteligentów, którzy zdawali się zawadzać efemerycznej władzy IV RP.

Kolonizacja Polski czasów Kaczyńskich przez „przeszłość i pamięć” prowadziła często do zastępowania polityki *tout court* przez politykę historyczną. Szczególnie było to widoczne w polityce międzynarodowej, w stosunkach z innymi państwami w czasach rządów PiS-u.

Polityka historyczna i Unia Europejska

W epoce obecnej legitymacja, wiarygodność, pamięć i moralność stają się ważnymi frontami walki między narodami, grupami społecznymi, klasami, grupami religijnymi i etnicznymi. To jest walka o to, co Joseph Nye, amerykański specjalista w dziedzinie stosunków międzynarodowych, nazwał „miękką potęgą” (*soft power*). Nie wiąże się ona ani z potencjałem militarnym, ani też z potęgą gospodarczą, posiadanymi źródłami energii czy potencjałem demograficznym, lecz ze zdolnością wpływania na innych ze względu na posiadany autorytet, atrakcyjność własnych rozwiązań instytucjonalnych, bogactwo kultury i osiągnięcia naukowe czy zgromadzone w przeszłości atuty. Przeszły heroizm, dokonania np. w walce z totalitaryzmem czy też przeszłe cierpienia, martyrologia – a więc to, co wzbudza zarówno podziw, jak i wyrzuty sumienia innych – mogą reprezentować konkretny kapitał w stosunkach z innymi narodami. Najczęściej podawanym przykładem jest rola zagłady Żydów w umożliwieniu powstania państwa Izrael i w szansie budowy jego potęgi regionalnej. Nie tylko Niemcy, ale także cały Zachód uznawały swoje szczególne zobowiązania w sytuacji zagrożenia dla bezpieczeństwa i istnienia państwa żydowskiego. Nie można

zrozumieć polityki rządów Kaczyńskich wobec Niemiec bez znajomości krytyki adresowanej przez Jarosława Kaczyńskiego do polityki lat 1989–2005, iż nie potrafiła odpowiednio wykorzystać poczucia winy Niemiec wobec Polski za zbrodnie w czasach Hitlera, aby uzyskać odpowiednie koncesje wobec Polski.

Dalej będę powracać do sprawy stosunków Polski ze swoimi sąsiadami, ale w szerszym kontekście problemów Europy i narodów europejskich ze swoją pamięcią, oraz do wpływu polityki historycznej na perspektywy europejskiej integracji.

Poszerzenie Unii Europejskiej o nowe kraje członkowskie 1 maja 2004 roku stanowiło wielki sukces ekonomiczny i polityczny. Ale nie było tak odczuwane w wielu krajach Europy Zachodniej. Poczucie obcości wobec nowych krajów członkowskich ujawniły referenda w sprawie konstytucji europejskiej we Francji i Holandii. Jednomyślne komentarze podkreślały, że „nie” w obu krajach zwrócone było m.in. przeciwko ostatniemu rozszerzeniu Unii, które objęło m.in. Polskę. Na pewno rolę odgrywało tu poczucie zagubienia, utraty wpływu na własny los w coraz szerszej Unii i coraz mniejszego wpływu na poszerzającą się wspólnotę. Istotne było wrażenie zagrożenia konkurencją ze strony krajów o niższych kosztach pracy i niższych podatkach. Za mało jednak podkreśla się inny czynnik, który odgrywał i odgrywa w stosunkach wewnątrz europejskich istotną rolę: odczucie obcości w stosunku do nowo przybyłych do europejskiego domu – metafora często na Zachodzie po rozszerzeniu używana.

Jednym z istotnych problemów europejskich jest brak historycznego poczucia wspólnoty. Tak jak Europa Zachodnia podejmowała przez powojenne dziesięciolecia świadomy wysiłek dochodzenia do zasadniczo wspólnego obrazu przeszłości, tak cała Europa powinna to czynić obecnie. Wspólna pamięć tworzy wspólnotę i wzajemne zaufanie. Jeżeli jesteśmy wyłączeni ze wspólnej pamięci bądź jeżeli sami się z niej wyłączamy, to oznacza, że nie do końca jesteśmy akceptowani jako współgospodarze Unii. Jak pisał Ernest Renan – wspólna pamięć tworzy poczucie współodpowiedzialności, uczucie solidarności. Solidarność wyrastająca z przeszłości jest też wyrazem

woli życia razem. To, co pisał Renan, dotyczyło narodu. Europa nie jest i nie będzie jednym narodem, ale słowa te zdają się odnosić również do niej. Aby istniała wspólna Europa, musi być ona – parafrazując jego słowa – codziennym plebiscytem na rzecz woli wspólnego istnienia i działania. Konieczne jest do tego poczucie wspólnoty przebytej drogi.

Silne więzi w starej Unii Europejskiej – zwłaszcza w sześciu państwach, które ją współtworzyły – były budowane nie tylko na wspólnym rynku i prawie, na elementach wspólnej polityki wewnętrznej, zagranicznej i obronnej, ale również na coraz bliższych relacjach między społeczeństwami państw członkowskich. Istotną rolę odgrywały tu edukacja, dążenie do zbliżenia wizji historii, przyjęcie wspólnej narracji dotyczącej przeszłości wspólnoty. Jednym słowem, zasadniczą funkcję spełniała tu narodowa i europejska polityka historyczna. Jej punktem wyjścia nie był wyidealizowany mit początku czy „złotego wieku”, lecz przeciwnie: apokalipsa wojny i hasło „nigdy więcej”. Dzięki rozumnej polityce państw i narodów wolnej Europy miał nastąpić proces coraz głębszej integracji, poczynając od Wspólnoty Węgla i Stali, poprzez traktat rzymski i Maastricht, aż po – tu promienna narracja postępu załamuje się – wspólną konstytucję.

Weszliśmy do Unii Europejskiej z naszymi odmiennosciami, z własną wizją historii, w istotnych elementach odbiegającą od tej, która dominuje na Zachodzie. Ważną rolę w tym odgrywała **pamięć drugiej wojny światowej**. Rozdział wojny został na Zachodzie dawno zamknięty. Budowanie wspólnej Europy pozwoliło na zakończenie okresu żałoby, rewindykacji i rozrachunków. Niemcy mają poczucie, że dzięki „pracy pamięci” ostatnich dziesięcioleci, uznaniu popełnionych zbrodni i solidnej demokracji mają prawo spojrzeć w oczy narodom świata. Są dziś pełnoprawnym członkiem wspólnoty euroatlantyckiej i europejskiej. Z naszej strony sprawa wygląda bardziej skomplikowanie. Wojna i jej wspomnienia są znacznie silniej obecne w pamięci Polaków i innych narodów regionu. Brutalność i eksterminacyjny charakter drugiej wojny światowej były tutaj nieznaną na Zachodzie codziennością. Odzyskanie pełnej suwerenności dopiero w 1989 roku i niepokój

o miejsce Polski w Europie, o bezpieczeństwo narodowe – to czynniki, które wpłynęły w istotny sposób na stosunki wzajemne z Niemcami. Nie osiągnęliśmy tu poczucia bezpieczeństwa, którym cieszą się Francuzi, Belgowie czy Holendrzy. Coraz silniej za Odrą obecna pamięć o własnych tragediach Niemców w czasie wojny, a nie tylko o dokonanych przez nich zbrodniach, budzi w Polsce niepokój, któremu dawały wyraz, ale który również politycznie eksploatowały, liczne środowiska polityczne i dziennikarskie, nie tylko te związane z PiS-em. Od Niemiec oczekiwano potwierdzenia dokonanych w czasie wojny zbrodni, zwłaszcza wobec Polaków, oraz wyrzeczenia się tych elementów niemieckiej polityki historycznej, które w Polsce były postrzegane jako zagrożenie dla naszych interesów, dla miejsca Polski jako ofiary niemieckiej agresji i zbrodni.

O ile pamięć wojny tworzy problemy w stosunkach z Niemcami, o tyle **pamięć komunizmu i ZSRR** przeciwstawia Polskę i inne kraje naszego regionu całej Europie Zachodniej. Zachód nie miał doświadczeń „realnego socjalizmu”, które dotknęły Polskę w latach 1939–1941 i później przez 45 lat po wojnie. Zachodnia pamięć komunizmu wiązała się z obecnością potężnych partii komunistycznych we Francji i Włoszech oraz mniej wpływowych w innych krajach wolnej Europy. Komunizm wiązał się też z poczuciem zagrożenia w czasach zimnej wojny ze strony Związku Radzieckiego. Obecność Stanów Zjednoczonych w Europie oraz „parasol atomowy” USA ograniczały groźbę płynącą z jednego i drugiego źródła.

Te doświadczenia nijak się jednak nie miały do tragizmu, ale i banalnej codzienności doświadczeń Polski oraz innych państw Europy Środkowej i Wschodniej. To tłumaczy, dlaczego Polacy i narody Europy Środkowo-Wschodniej czują się zagrożone interpretacją historii, z której znikły pakt Ribbentrop-Mołotow, Katyń, okupacja sowiecka, półwiecze powojennej dominacji. Chodzi tu o historię, ale też o politykę. O przeszłość, ale i o przyszłość. Zwłaszcza że problemy związane z konkurencją pamięci są wzmacniane brutalnym naciskiem politycznym i gospodarczym. Odmienne doświadczenia historyczne, różny ciężar pamięci o stosunkach z Rosją i ZSRR oraz rola interesów ekonomicznych i strategicznych powodują często od-

mienny stosunek do Rosji Putina w Warszawie, Berlinie, Paryżu czy Londynie i Rzymie. Widzimy to wyraźnie na przykładzie projektu gazociągu, który w wyniku umowy Moskwa–Berlin i z poparciem wielu innych państw Europy Zachodniej ma być położony na dnie Bałtyku. Choć trzeba przyznać, że brutalna presja energetyczna Moskwy na Ukrainę, Białoruś, Gruzję i inne kraje regionu zrobiła wrażenie i na Zachodzie. Doświadczenie to nieco zbliżyło percepcje kwestii rosyjskiej po obu stronach Europy.

O ile w stosunkach z Niemcami i Rosją mamy w ostatnich latach do czynienia z zaostreniem „walki pamięci” i z pobudzaniem społecznego niepokoju, o tyle przypadek Ukrainy zdaje się dostarczać przykładu odwrotnego. Dobre stosunki polsko-ukraińskie – i to zarówno za czasów prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego, jak i Lecha Kaczyńskiego – przyczyniają się do uznania przez oba państwa zbrodni przeszłości i do łagodzenia w ten sposób bolesnych wspomnień stojących na drodze pojednania. Ważnym tu rozdziałem były słowa prezydenta Kaczyńskiego w Pawłokomie. Przewyciężanie konfliktu pamięci, zapisanego w narodowych narracjach bólu i wrogości, tworzy podstawy trwałego unormowania stosunków wzajemnych.

W polskiej pamięci odmiennie niż w dominującej społecznie wizji „starej” Unii zapisana jest **rola Stanów Zjednoczonych w historii współczesnej Europy**. W zachodniej części kontynentu słabnie wspomnienie o roli, jaką Ameryka odegrała w wyzwoleniu Europy z rąk Hitlera oraz w obronie Zachodu przed ZSRR w czasach zimnej wojny. Gdy Charles de Gaulle, wycofując Francję ze struktur wojskowych NATO, zażądał, aby wojska amerykańskie opuściły jego kraj, ówczesny sekretarz stanu USA ironicznie zapytał, czy Waszyngton ma też ewakuować groby tych, którzy polegli, walcząc o wolność Francji. W polskiej pamięci nie można oddzielić historii Europy Zachodniej od historii Stanów Zjednoczonych ostatnich 65 lat. Była to w istocie historia Zachodu, w której dominującą rolę, począwszy od wojennego upadku Europy, odgrywały Stany Zjednoczone. Retrospektywnie można nawet postawić tezę, że entuzjazm, jaki w 1989 roku wzbudzało hasło „powrotu do Europy” w całym naszym regionie, dotyczyło w istocie „powrotu do Zachodu”.

Istotnym źródłem odmiennego pamiętania historii jest **sprawa Holocaustu i losu Żydów europejskich**. Wspólnota Europejska powstała po to, aby nie dopuścić do powtórzenia się zbrodni czasów drugiej wojny światowej. Równocześnie zagłada Żydów była przez dwadzieścia powojennych lat spychana na Zachodzie w niepamięć. Tony Judt, wybitny historyk Europy, pisał nawet, że zbudowanie Wspólnoty Europejskiej opierało się na kontrakcie o niepamięci¹⁴. Europa wychodziła bowiem z wojny przegrana, z doświadczeniem klęski, okupacji i kolaboracji. Problem zagłady Żydów, jako zjawisko szczególne, zasadnicze dla charakteru nazizmu, został objęty milczeniem. Następane trzydzieści lat to powolne zajmowanie centralnego miejsca w pamięci Zachodu przez wspomnienia o Holocauście (w Stanach Zjednoczonych ten proces jest jeszcze bardziej widoczny niż w Europie Zachodniej). Paradoksalnym efektem tego procesu było relatywne spychanie na dalszy plan cierpień innych narodów z rąk hitlerowskich Niemiec, a także zbrodni komunizmu. W efekcie nastąpiła również istotna zmiana rozłożenia akcentów: historia Zagłady, przesładowań oraz cierpienia zajmowała coraz bardziej miejsce historii czynów heroicznych, dziejów walki i oporu.

Europa Środkowa i Wschodnia, która zmierzyła się z dziedzictwem Holocaustu w istocie dopiero po odzyskaniu suwerenności w 1989 roku, ma trudności z zaakceptowaniem takiej wizji przeszłości Europy, w której Żydzi zajmują w jakimś sensie centralne miejsce. Po pierwsze – dzieje się tak dlatego, że pół wieku komunizmu i milczenia na temat Holocaustu nie ułatwiło zrozumienia specyfiki żydowskiej martyrologii. Po drugie – bo poza milionami ofiar żydowskich były tu miliony ofiar polskich, rosyjskich i innych narodów. Po trzecie – ponieważ poza ofiarami nazizmu były tu liczne ofiary komunizmu. Po czwarte – dlatego że w pamięci narodów regionu, od państw bałtyckich po Rumunię, Żydzi, ofiary zbrodni Hitlera, byli równocześnie postrzegani jako współodpowiedzialni za zbrodnie sowietyzmu. Dość powszechne

¹⁴ Tony Judt, *The Past is Another Country: Myth and Memory in Post-war Europe*, w: *Memory and Power in Post-war Europe. Studies in the Presence of the Past*, ed. by Jan-Werner Müller, Cambridge, UK, New York, NY 2002, s. 157–184.

w Polsce utożsamianie Żydów i komunizmu w popularnej endeckiej formule „żydokomuna” było dziedzictwem przedwojennego antysemityzmu. Komunizm zostałby oczywiście Polsce po wojnie narzucony również bez Żydów. Ale ich względnie duża liczba w aparacie władzy zdawała się potwierdzać najgorsze uprzedzenia. Żydzi – jak często mniejszości narodowe w wielkich imperiach – byli wykorzystywani w pierwszym okresie rządów komunistycznych przeciwko miejscowej większości w wielu państwach Europy Środkowej i Wschodniej. Tak było też w czasach sowieckiej okupacji lat 1939–1941 (wbrew temu, co pisze Jan Tomasz Gross w swoich kolejnych książkach). Fakt ten utrudniał przezwyciężenie dziedzictwa antysemityzmu. Utrudniał i utrudnia do dziś zaakceptowanie i przeżycie tragedii Żydów polskich, Żydów Europy. Z perspektywy Europy Zachodniej nie do zrozumienia i nie do zaakceptowania są manifestacje antysemityzmu w takim kraju jak Polska, gdzie zostały dokonane największe zbrodnie Hitlera, gdzie po wojnie mogły mieć miejsce pogromy Żydów oskarżanych o mord rytualny, gdzie już po 1989 roku toczyły się walki o symboliczne panowanie nad obozem w Auschwitz (konflikt o Karmel, o krzyże na żwirowisku), gdzie nietrudno dostrzec otwarty antysemityzm wielu księży i gdzie wreszcie jeszcze niedawno współrządziła partia (LPR), w szeregach której antysemityzm nie wymagał wnikliwych poszukiwań i której wiceprzewodniczący otwarcie bronił przedwojennego getta ławkowego na uniwersytetach.

Polsko-niemiecki czy polsko-rosyjski konflikt pamięci nie jest i nie może być źródłem kryzysu polskiej tożsamości. Gdzie był kat i gdzie była ofiara – to nie budzi niczyjej wątpliwości. Inaczej ma się sprawa ze stosunkami polsko-żydowskimi. Szok wywołany odkryciem prawdy o stosunku dużej części społeczeństwa polskiego do Żydów w czasie wojny i po wojnie był m.in. wynikiem dominującego do niedawna, a w dużym stopniu i dziś obecnego przeświadczenia Polaków o własnej niewinności. Wynikał on z przekonania o tym, że Polacy byli ofiarą innych, nigdy zaś, iż inni mogli być ofiarą Polaków. Zbrodnia w Jedwabnem i gdzie indziej oraz przypomnienie przez Jana Tomasza Grossa pogromów i mordów powojennych – postawiły w dramatyczny sposób kwestię stosunku do Żydów w centrum polskich debat, wywołując szok.

Paradoksalnie, bez świadomości opinii zachodniej, ale też polskiej, ma miejsce radykalna poprawa w stosunkach polsko-żydowskich: nie w wyniku gestów współczucia, pamięci i pojednania, lecz w następstwie zaangażowania się Polski po stronie amerykańskiej w Iraku. Wątpliwe jest, aby Saddam Husajn zagrażał bezpieczeństwu Polski czy USA, ale na pewno stanowił problem dla bezpieczeństwa Izraela. Polska, dokonując wyboru w sprawie Iraku, stała się nieświadomie strategicznym partnerem Izraela. Związki Polski z Ameryką oraz brak antyizraelskich tendencji w polskiej polityce zagranicznej spowodowały też poszukiwanie przez Izrael i międzynarodowe organizacje żydowskie poparcia Polski wewnątrz Unii Europejskiej, gdzie w ostatnich latach nasilają się tendencje antyizraelskie.

Niezdolność Europy Zachodniej do zasymilowania naszych doświadczeń i naszej historii dotyczy nie tylko dziejów odległych, ale również tych najbliższych. Dobrym przykładem tej separacji mogą być **rola i miejsce 1989 roku**. Dla Europy postsowieckiej była to data zasadnicza. Moment zamknięcia tragicznego cyklu, który rozpoczął się dla Czech i Słowacji w 1938 roku, dla Polski 1 września 1939 roku, dla innych krajów regionu jeszcze później; koniec czasu wojny, sowieckiej dominacji i komunistycznego panowania. Rok 1989 był też dla Polski zwieńczeniem ruchu „Solidarności” 1980–1981, a dla całej strefy postsowieckiej stanowił moment załamania się komunizmu, w wyniku mniej czy bardziej silnych tendencji emancypacyjnych narodów regionu. Dla Europy Zachodniej, ale również dla Stanów Zjednoczonych, na plan pierwszy coraz bardziej wybijał się wymiar geopolityczny: rok 1989 jako gra wielkich mocarstw. Nieprzypadkowo to mur berliński stał się symbolem wielkich zmian, które przecież rozpoczęły się w Polsce. To jednak podzielony Berlin uosabiał dla Zachodu zimną wojnę, podział Europy, zagrożenia dla zachodniej części kontynentu. Dlatego dowodem naiwności i polemicznego zacietrzewienia jest obciążanie polityki historycznej III RP odpowiedzialnością za to, że świat nie docenił, nie pamięta „Solidarności” ani roli Polski w 1989 roku. Zresztą, nikt tak nie niszczył dorobku solidarnościowej rewolucji, dorobku roku 1989 i lat

90., jak różne frakcje byłego obozu „solidarnościowego”, kontestujące osiągnięcia lat po przelomie; zwłaszcza ci, którzy najwięcej mówili i mówią o patriotyzmie czy budowaniu dumy z osiągnięć własnego narodu.

Inne doświadczenia oddzielające nas od „starej” Unii dotyczą **pamięci integracji Europy**. Dominująca na zachodzie kontynentu opowieść o budowaniu wspólnej Europy pozostawia nas na zewnątrz, milczy o nas. W tej narracji Europa to „oni”. Trudno im utożsamić się z naszą historią, ale i nam trudno utożsamiać się z historią, w której nie uczestniczyliśmy, z opowieścią, która została przez dwa pokolenia uwewnętrzniona i stała się kanoniczną wersją organizującą pamięć zachodnich Europejczyków. Trudno też Polakom uznać to, co pierwotni członkowie Unii postrzegają jako naturalne, np. fundamentalne znaczenie dla wspólnej Europy francusko-niemieckiego pojednania i niekwestionowane do niedawna przywództwo obu narodów w Europie. Dzisiaj Polska i inne państwa regionu (ale też coraz więcej krajów Europy Zachodniej) odmawiają uznania prawomocności tego przywództwa. W coraz większej i coraz bardziej różnorodnej Unii trudno uznać prawomocność dominacji dwóch państw, choćby i wielkich. Mit porozumienia francusko-niemieckiego, który leżał u podstaw integrującej się stopniowo Europy, nie robi żadnego wrażenia na narodach, które w tej historii nie uczestniczyły. Nie mogą one dostrzec prawomocności aspiracji, których konsekwencją jest nieuchronne ograniczenie, zepchnięcie do tylnych rzędów innych narodów.

I jeszcze jeden, bardzo istotny element pamięci historycznej, który radykalnie separuje dwie części Europy: chodzi o rolę **przeszłości kolonialnej i imperialnej**. Kwestia ta nie dotyczy nowych członków Unii Europejskiej. Owszem, kraje te były ofiarami podbojów ze strony wielkich imperiów regionu: rosyjskiego, niemieckiego, austro-węgierskiego i otomańskiego. Mają za sobą złożone, często niedobre relacje z sąsiadami, obciąża je nieraz stosunek do mniejszości narodowych. Ale to zupełnie coś innego niż istotna dla tożsamości wielu narodów Europy Zachodniej – zwłaszcza Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Holandii, Belgii i Niemiec – przeszłość imperialna i kolonialna. Ma ona duży wpływ na politykę i na

stosunek psychiczny zachodnich Europejczyków do byłych kolonii. Istotną rolę np. w debatach francuskich odgrywa obecnie problem handlu czarnymi niewolnikami, pojawiają się żądania, by uznać je za zbrodnie masowej zagłady. Złożoność stosunków z narodami byłych kolonii nakłada swoistą cenzurę na swobodę wypowiedzi na temat ludów i cywilizacji kiedyś kolonizowanych. To wielki obszar problemów, których np. Polacy nie potrafią zrozumieć, gdyż są to doświadczenia niestychnie odległe od tego, co znali ze swojej historii. Sławne i obraźliwe słowa prezydenta Jacques'a Chiraca, wypowiedziane po tzw. „liście ośmiu” (czyli państw, które opowiedziały się w 2003 roku po stronie Ameryki) – o braku dobrych manier nowych państw i o straconej okazji do milczenia – byłyby nie do pomyślenia w stosunku do byłych kolonii. Zbyt dużo tu narosło obaw, nieporozumień, wyrzutów sumienia. Polska i inne kraje Europy Środkowej tego typu obaw nie wzbudzały, ale równocześnie zdają się należeć do tych państw, wobec których prezydent Francji mógł – jak mu się wydawało – okazywać werbalną brutalność i swoisty paternalizm.

Potrzeba i granice wspólnej pamięci

Geografia pamięci zakreśla granice i intensywność odczuwanej wspólnoty. Jeżeli dwie części Europy mają się zrosnąć, to konieczna jest nie tylko polityka rynkowa czy otwartych granic, ale i europejska polityka historyczna czy to, co Wolf Lepenies nazwał „polityką mentalności”. Istnieje niewątpliwie konflikt między dążeniem do budowania wspólnej, otwartej Europy, do pogłębiania jej tożsamości i poczucia historycznego zakorzenienia, do stworzenia strefy, gdzie Polska mogłaby się czuć bezpieczna oraz uznawana w swej przynależności i odmienności – a wysiłkiem umacniania tożsamości i pamięci narodowej oraz próbą utwierdzenia samodzielnej roli Polski. Poczucie kryzysu wartości czy zagubienia po 18 latach głębokich przemian, ale też logika walki – to wszystko skłania siły polityczne do podkreślania problemów polskiej tożsamości i pamięci. Musimy oczywiście umacniać poczucie przynależności do Polski i dumy z niej. Powinniśmy też, wraz z innymi nowymi członkami

Unii, dążyć do takiej modyfikacji europejskiej wizji historii, aby wyraźnie uwzględniała ona nasze doświadczenia, nasze spojrzenie na historię, a w ten sposób przewyciężała pozostałości historycznego oddalenia dwóch części Europy. Musimy też jednak myśleć o sobie jako o Europejczykach, którzy mają wobec Europy nie tylko prawa, ale i zobowiązania. Do elementarnych należy to, abyśmy – oczekując od Unii Europejskiej gwarancji pokoju i stabilności, szans rozwoju i dobrobytu – nie budowali w głowach obywateli murów, oddzielających nas od innych społeczeństw wspólnoty historycznymi lękami, resentymentami czy narodowymi mitami.

Noty biograficzne

Halina Bortnowska (ur. 1931) – publicystka, działaczka społeczna. W latach 1960–1983 redaktorka i sekretarz redakcji miesięcznika „Znak”. W latach 1970–1983 organizowała edukację religijną dorosłych w Nowej Hucie. W latach 1980–1989 – doradca „Solidarności”, członkini Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. W roku 1990 współzałożycielka ROAD (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna) i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Od 1991 do 1997 roku członkini Międzynarodowej Rady Pax Christi. W 2000 roku członek-założyciel Otwartej Rzeczypospolitej – Stowarzyszenia przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii. Ostatnio wydała: *Już, jeszcze nie. Catoroczne rekolekcje z Ludźmi Adwentu* (Kraków 2005).

Zbigniew Bujak (ur. 1954) – polityk, działacz opozycji demokratycznej. W 1980 roku współzałożyciel „Solidarności” w Zakładach Mechanicznych Ursus w Warszawie. W latach 1980–1981 członek Krajowej Komisji Porozumiewawczej, a następnie Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Ukrywał się po wprowadzeniu stanu wojennego. W latach 1982–1986 przewodniczył Regionalnej Komisji Wykonawczej Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. W 1986 więziony. W latach 1986–1987 zasiadał w Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. W latach 1991–1997 poseł na Sejm RP. W 1990 roku współzałożyciel ROAD. W 1991 roku szef Ruchu Demokratyczno-Społecznego. W latach 1992–1998 członek Unii Pracy, a następnie Unii Wolności. W latach 1999–2001 szef Głównego Urzędu Cei.

Marek A. Cichocki (ur. 1966) – germanista, filozof, historyk idei politycznych, publicysta, dr. Od 2001 roku adiunkt w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych UW. W latach 2000–2003 dyrektor programowy Centrum Stosunków Między-

narodowych. Od 2003 roku wydawca i redaktor naczelny rocznika „Teologia Polityczna”. Od 2004 roku dyrektor programowy Centrum Europejskiego Natolin i redaktor naczelny pisma „Nowa Europa. Przegląd Natoliński”. Od stycznia 2007 roku z Dariuszem Gawinem i Dariuszem Karłowiczem prowadzi w TVP Kultura program *Trzeci punkt widzenia*. Od 2007 roku doradca społeczny prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Wydał m.in.: *Polska–Unia Europejska, w pół drogi* (2002), *Porwanie Europy* (2004) oraz *Władza i pamięć* (2006).

Bogusław Gertruda (ur. 1980) – politolog, absolwent Międzynarodowej Szkoły Nauk Politycznych Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Maciej Janowski (ur. 1963) – historyk, dr hab. Docent w Instytucie Historii PAN w Warszawie, kierownik Pracowni Dziejów Inteligencji. Profesor na Wydziale Historii Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego (Central European University) w Budapeszcie. Zajmuje się historią Polski i Europy Środkowo-Wschodniej XIX–XX wieku. Wydał m.in.: *Inteligencja wobec wyzwań nowoczesności. Dylematy ideowe polskiej demokracji liberalnej w Galicji w latach 1889–1914* (1996), *Polska myśl liberalna do 1918 r.* (1998).

Zdzisław Krasnodębski (ur. 1953) – filozof i socjolog, prof. dr hab. Od 1976 do 1991 roku wykładał socjologię teoretyczną i filozofię społeczną na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1995 roku profesor Uniwersytetu w Bremie, a od 2001 roku także Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydał m.in.: *Rozumienie ludzkiego zachowania* (1986), *Upadek idei postępu* (1991), *Postmodernistyczne rozterki kultury* (1996), *Max Weber* (1999), *Demokracja peryferii* (2003, II wyd. 2005), *Drzemka rozsądnych. Zebrane eseje i szkice* (2006), *Zmiana klimatu* (2006). Tłumaczył teksty Jürgena Habermasa i Helmutha Plessnera. Stale współpracuje z „Rzeczpospolitą” oraz „Wprostem”.

Marcin Król (ur. 1944) – historyk idei, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Dziekan Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji UW. Redaktor naczelny miesięcznika „Res Publica Nowa”. Członek Rady Fundacji im. Stefana Batorego. Współpracownik „Tygodnika Powszechnego” oraz „Dziennika”. Wydał m.in.: *Style politycznego myślenia* (1978), *Podróż romantyczna* (1987), *Słownik demokracji* (1989), *Romantyzm – piekło czy niebo Polaków* (1998), *Patriotyzm przyszłości* (2004), *Bezradność liberałów. Myśl liberalna wobec konfliktu i wojny* (2005).

Jarostaw Kurski (ur. 1963) – dziennikarz i publicysta. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL-u, członek Ruchu Młodej Polski. Publicysta prasy podziemnej. W latach 1988–1991 korespondent hiszpańskiej agencji EFE i dziennikarz „Tygodnika Gdańskiego”. Od października 1989 do lipca 1990 roku rzecznik prasowy Lecha Wałęsy. Od 1992 roku dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Od stycznia 2007 roku zastępca, a od czerwca 2007 roku pierwszy zastępca redaktora naczelnego. Od 2006 roku prowadzi *Poranki* w radiu Tok FM. Członek Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Wydał m.in.: *Wódz* (1991), *Jan Nowak-Jeziorański* (2005), *Pokój z widokiem na historię* (2005).

Daria Nałęcz (ur. 1951) – historyk, prof. dr hab. Ekspert Komisji Europejskiej w sprawach archiwistyki. W latach 1996–2006 naczelny dyrektor archiwów państwowych. Wydała m.in.: *Sen o władzy. Inteligencja wobec niepodległości* (1994), *Kronika odradzającej się i wolnej Polski (1915–1939)* (1998).

Mikołaj Pietrzak (ur. 1973) – adwokat, członek Warszawskiej Izby Adwokackiej. Specjalizuje się w sprawach karnych. Koordynator programu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka „Prawa Człowieka a Rozliczenia z Przeszłością”. Wielokrotnie podejmował się zastępstwa procesowego i obrony *pro publico bono* w sprawach związanych z naruszaniem praw człowieka.

Adam Pomorski (ur. 1956) – tłumacz i eseista, wiceprezes polskiego Pen Clubu. Przetłumaczył m.in.: *Fausta* Johanna Wolfganga Goethego (1999), *Braci Karamazow* Fiodora Dostojewskiego (2004), poezje Iwana Bunina, Thomasa Stearnsa Eliota, Rainera Marii Rilkego. Laureat m.in. nagrody Polskiego Pen Clubu. Wydał m.in.: *Duchowy proletariusz* (1996), *Imperialna baba* (2003), *Sceptyk w piekle. Z dziejów ideowych literatury rosyjskiej* (2004).

Andrzej Skrzypek (ur. 1944) – historyk. Profesor na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Wydał m.in.: *Mechanizmy uzależnienia. Stosunki polsko-radzieckie 1944–1957* (2002), *Druga smuta. Zarys dziejów Rosji 1985–2004* (2004), *Mechanizmy autonomii. Stosunki polsko-radzieckie 1956–1965* (2005).

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, pracownik naukowy francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych (CNRS). Studiował socjologię i ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim, stosunki międzynarodowe w John Hopkins University. W latach

1971–1989 na emigracji politycznej we Włoszech, w Wielkiej Brytanii i we Francji. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego, a w latach 1992–1993 doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Do 2005 roku członek Unii Wolności. Opublikował m.in.: *Le rôle des groupes d'opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie* (red. z Peterem Kende, 1989), *La Grande Secousse. L'Europe de l'Est 1989–1990* (red. z Peterem Kende, 1991), *Globalization, Power and Democracy* (red. z Markiem Plattnerem, 2000), *De Kant a Kosovo* (red. z Anne-Marie Le Gloanec, 2003).

Dariusz Stola (ur. 1963) – historyk, dr hab. Profesor w Collegium Civitas, docent w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Członek zespołu Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się polityczną i społeczną historią Polski w XX wieku. Wydał m.in.: *Nadzieja i zagłada* (1995), *Kampania antysyjonistyczna w Polsce 1967–1968* (2000), *Patterns of Migration in Central Europe* (2001), *PRL. Trwanie i zmiana* (2003).

Joanna Tokarska-Bakir (ur. 1958) – antropolog kultury, eseistka, prof. dr hab. Pracownik Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Collegium Civitas. Stypendystka Humboldta i Mellona. Prowadziła badania terenowe w Meksyku, Indiach i Bhutanie. Laureatka nagrody „Res Publici” za najlepszy esej roku 2001 (*Obsesja niewinności*). Wydała m.in.: *Wyzwolenie przez zmysły. Koncepcje soteriologii tybetańskiej* (1997), *Obraz osobliwy. Hermeneutyczna lektura źródeł etnograficznych* (2000), *Rzeczy mgliste. Eseje i studia* (2004). W 2008 roku ukaże się książka *Legendy o krwi. Antropologia przesądu*.

Karin Tomala (ur. 1940) – sinolog, prof. dr hab. Pracownik Centrum Krajów Pozaeuropejskich Polskiej Akademii Nauk. Autorka licznych publikacji na temat transformacji w Chinach, koncepcji rozwoju, dialogu międzykulturowego oraz praw człowieka.

Indeks nazwisk

- Adenauer Konrad 43
Arendt Hannah 10, 50, 54
Aron Raymond 24
Aron Robert 24
Assman Jan 10
- Bidault Georges 50
Bismarck Otto Eduard Leopold von 35, 46
Blücher Gebhard Leberecht von 15
Błoński Jan 29–30, 41
Bortnowska Halina 38, 75
Bourdieu Pierre 20
Bujak Zbigniew 35, 42, 46, 75
Bunin Iwan 77
Burckhardt Jacob 10
- Chirac Jacques 73
Chmielnicki Bohdan 13
Churchill Winston 51
Cichocki Marek A. 28, 39, 44, 60, 75
Clemenceau Georges 54
- Dahrendorf Ralf 63
Dorn Ludwik 58, 60
Dostojewski Fiodor 77
Dutschke Rudi 19
- Ebner-Eschenbach Marie von 28
Eliot Thomas Stearns 77
- François Etienne 19
- Gaulle Charles de, gen. 23–25, 28, 31–32, 34, 36, 42, 43, 45, 50, 61
Gawin Dariusz 29, 35, 39, 43, 60, 76
Geertz Clifford 28
Gertruda Bogusław 31, 76
Giedroyc Jerzy 40, 46
Gierek Edward 57
Giertych Roman 7, 12, 47
Głowiński Michał 29–30, 41
Goethe Johann Wolfgang 77
Gomułka Władysław 57
Gross Jan Tomasz 52, 70
- Habermas Jürgen 42, 76
Halbwachs Maurice 10
Herder Johann von 30
Hirsch Marianne 27
Hitler Adolf 50, 65, 69, 70
Hoagland Jim 61
Hobsbawm Eric 42
Hohenzollernów dynastia 15
Holmes Steve 63

Hrabal Bohumil 36
Husajn Saddam 71

Janowski Maciej 35, 43, 76
Jaruzelski Wojciech, gen. 57
Jaworski Rudolf 18
Judt Tony 68

Kaczyński Jarosław 17, 37, 53–54, 59,
61, 62, 64–65
Kaczyński Lech 8, 50, 61, 62, 64–65,
68, 76

Karłowicz Dariusz 60, 76
Kende Peter 78
Kieres Leon 55
Kochanowicz Jacek 61
Kollwitz Käthe 18
Konieczny Marian 39
Kostro Robert 30
Krasnodębski Zdzisław 39, 41, 43, 76
Król Marcin 31–32, 33, 34, 42, 43, 76
Kukliński Ryszard 7
Kulish Nicholas 52–53
Kundera Milan 36, 54
Kuroń Jacek 7, 19
Kurski Jarosław 77
Kurtyka Janusz 55
Kwaśniewski Aleksander 20–21, 57,
59, 68

Le Gloanec Anne-Marie 78
Lenin Włodzimierz (właśc. Władimir
Iljicz Uljanow) 39
Lepenies Wolf 73
Leszczyński Adam 30
Levi Primo 51
Lipski Jan Józef 30

Machcewicz Paweł 55
Machiavelli Niccolò 25, 34
Mandelbaum Michael 63

Matejko Jan 50
Mazowiecki Tadeusz 24–25, 36, 42–43,
78

Mazzini Giuseppe 34
Merkel Angela 37
Merta Tomasz 30
Michalski Cezary 60
Michalski Krzysztof 28
Mołotow Władimir 67
Morawiecki Kornel 19
Müller Jan-Werner 69

Nałęcz Daria 32, 38, 77
Napieralski Grzegorz 57
Napoleon Bonaparte, cesarz 15
Nay Joseph 64
Nietzsche Fryderyk 28–29
Nora Pierre 19
Norwid Cyprian Kamil 29
Nowak-Jeziorański Jan (właśc. Zdzisław
Antoni Jeziorański) 77

Obst Erich 12
Olejniczak Wojciech 57
Ophüse Marcel 28, 32
Orwell George 51

Pétain Philippe, marszałek 50
Pietrzak Mikołaj 32, 77
Piłsudski Józef 15, 24–25, 32–33, 34,
57
Plattner Mark 78
Plessner Helmuth 76
Pomorski Adam 39, 77
Popper Karl Raimund 10
Primor Avi 53
Putin Władimir 37, 46, 50, 52, 68

Renan Ernest 65–66
Ribbentrop Joachim von 67
Rilke Rainer Maria 77

Rymkiewicz Jarosław Marek 43, 60
Sadurski Wojciech 58
Schulze Hagen 19
Sienkiewicz Henryk 7, 14
Skrzypek Andrzej 40, 77
Škvorecký Josef 36
Smolar Aleksander 77
Stefan Batory, król 50
Steinbach Erika 53
Stern Fritz 51
Stola Dariusz 33, 46, 78
Suchocka Hanna 78
Sztompka Piotr 68

Świda-Ziemba Hanna 39

Tokarska-Bakir Joanna 32, 41, 78

Tomala Karin 31, 78
Toynbee Arnold 37, 60
Tusk Donald 50, 53, 61

Ujazdowski Kazimierz Michał 30,
61–62

Wałęsa Lech 75, 77

Weber Max 76

Wiesenthal Szymon 51

Wincenty Kadłubek (Mistrz Wincenty)
bł. 11

Zdrojewski Bogdan 61

Żaryn Jan 55

Żeromski Stefan 7

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

Pamięć i polityka zagraniczna (2006); publikacja poświęcona znaczeniu historii w stosunkach Polski z jej sąsiadami: Niemcami, Rosją i Ukrainą. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Klausa Bachmanna, Władysława Bartoszewskiego, Bogumiły Berdychowskiej, Marka Borowskiego, Bronisława Geremka, Marka Jurka, Zdzisława Krasnodębskiego, Andrzeja de Lazari, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Rokity, Adama Daniela Rotfelda, Aleksandra Smolara, Donalda Tuska, Kazimierza Michała Ujazdowskiego i Anny Wolff-Powęskiej.

Jaka Polska? Czyja Polska? Diagnozy i dyskusje (2006); publikacja poświęcona zmianom politycznym, jakie zaszły w 2005 roku, od kampanii wyborczej po powstanie pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości, oraz pierwszemu okresowi – najpierw samodzielnych, a potem koalicyjnych – rządów PiS-u. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Henryka Domańskiego, Dariusza Gawina, Mirosławy Grabowskiej, Jerzego Hausnera, Antoniego Kamińskiego, Jacka Kochanowicza, Zdzisława Krasnodębskiego, Jacka Kurczewskiego, Ryszarda Legutki, Janusza Lewandowskiego, Bronisława Łagowskiego, Mirosławy Marody, Karola Modzelewskiego, Janusza Reykowskiego, Jacka Rostowskiego, Andrzeja Rycharda, Sławomira Sierakowskiego, Aleksandra Smolara, Jerzego Szackiego, Piotra Winczorka, Artura Wołki i Jacka Żakowskiego.

